



Przystanek Dolny Śląsk

kwartalnik 4(40)2025 zima • ISSN 2353-3056



WSPOMNIENIA Z POWODZI 2024 ROKU
LADEK-ZDRÓJ • BARDO • BYSTRZYCA KŁODZKA
POLANICA-ZDRÓJ • DZIERŻONIÓW • ŻARÓW
ŚWIEBODZICE • ŁEMKOWIE NA DOLNYM ŚLĄSKU



Przyszliśmy w niedzielę, 15 września 2024, do pracy wcześniej niż zawsze, na 9 rano. Od dwóch dni gotowaliśmy dla Ochotniczej Straży Pożarnej z Łądku ciepły posiłek. Była to tylko zupa. W niedzielę chcieliśmy upichcić im coś więcej...

» **strona 8**



– Jedziemy sprzątać Ziemię Kłodzką! – rozlegały się entuzjastyczne głosy zakłète w cyfrowych wiadomościach mediów społecznościowych. Ruszyliśmy skoro świt kilkoma samochodami zaopatrzeni w to, co mogło się przydać – sprzęt, łopaty, wiadra, szmaty.

» **strona 42**



Od piątku pada. A w niedzielę Agatka z Dominikiem i małym Leosiem ma lot do Anglii. Niepokój. Planowali jechać do Wrocka w niedzielę rano. Ale Żelazno już nieprzejezdne. Szybka decyzja - jadą teraz przez Polanicę...

» **strona 25**



Na okładce zdjęcie z warsztatów podczas 19. Obchodów Dnia Patrona Miasta Św. Jerzego w Łądku-Zdroju, które w tym roku - ze względu na popowodziowe remonty - wyjątkowo odbyły się dopiero w sierpniu, a nie tradycyjnie w kwietniu / fot. Wojciech Głodek



Przysanek Dolny Śląsk to niezależny kwartalnik o Dolnym Śląsku i tylko dzięki Wam może taki pozostać. Kwartalnik możesz *symbolicznie zaprenumerować i **możesz wesprzeć powstawanie kolejnych numerów** na patronite.pl/przysanekd (*symbolicznie, bo nie chcemy zamykać go za paywallem) lub dokonując darowizny bezpośrednio na rzecz fundacji Instytut Dolnośląski nr konta **28 2130 0004 2001 0663 3879 0001**

Dziękujemy za stałe wsparcie naszym Patronom i Patronkom:

Wojciech Tretter, Hubi John, Marcin Kownacki, Kamil Jabłoński, Krzysztof Lisocki, Dominik Dłubała i 1×NN

Przysanek Dolny Śląsk, kwartalnik nr 4(40)2025 zima

tytuł zarejestrowany w Sądzie Okręgowym we Wrocławiu Rej. Pr. 3208 ISSN 2353-3056

wydawnictwo bezpłatne

adres redakcji: redakcja@przysanekd.pl

redaktor naczelny: Wojciech Głodek • **współpraca:** Iwona Błach, Stefan Höber, Jolanta Kluba, Haidrun Pergande, Friedemann Scholz, Hanna Szurczak, Robert Wollny

wydawca: Instytut Dolnośląski z siedzibą we Wrocławiu, zarejestrowany 20.03.2014 roku w Sądzie Rejonowym dla Wrocławia Fabrycznej VI Wydziale Gospodarczym KRS 0000502837 Regon 022395582 NIP 8982207071 adres wydawcy: biuro@instytutdolnoslaski.org

Wydawca, Redakcja i Autorzy dokładają wszelkich starań, aby ustalić dysponentów praw autorskich publikowanych materiałów. Osoby, które mogły zostać pominięte proszone są o kontakt z Redakcją. Redakcja zastrzega sobie prawo adjustacji, skracania i opracowania redakcyjnego nadesłanych materiałów. Redakcja nie zwraca nadesłanych materiałów. Wydawca zastrzega sobie prawo przedruku nadesłanych artykułów w innych wydawnictwach. Wydawca oraz Redakcja nie ponoszą odpowiedzialności za treść reklam. Dozwolone jest kopiowanie i rozpowszechnianie niezmodyfikowanego wydania kwartalnika na innych stronach internetowych i innych nośnikach pod warunkiem zachowania bezpłatnego dostępu do niego.



Przemysł drzewny na Dolnym Śląsku nie ucierpiał mocno podczas II wojny światowej. Działające w Świebodzicach stolarnie i tartaki ocalały niemal w stu procentach i od razu rozpoczęły produkcję.

» **strona 96**



Wyjątkowe miejsce na mapie zabytków techniki – Młyn Hilberta w Dzierżoniowie. To nie tylko obiekt młynarski, ale też górująca nad nim 33-metrowa wieża, którą widzą wszyscy przejeżdżający przez to niewielkie miasteczko w Góry Sowie. Po co młynowi wieża?

» **strona 81**



Piękny kościół, na którym zatrzymują wzrok wszyscy pasażerowie pociągu z Wrocławia do Jaworzyny Śląskiej. Pociąg przejeżdża w pobliżu kościoła w ciągu kilku sekund. Po kilku następnych jest na stacji Żarów, którą również po chwili opuszcza.

» **strona 113**



Bardo. Życie ręcznie wyrzeźbione

» **strona 55**

Manufaktura Szkła *Barbara* w Polanicy Zdroju

» **strona 65**

Łemkowice na Dolnym Śląsku. Od chaosu do Hołosu

» **strona 135**

Korespondencja z regionu

» **strona 154**

Dolnośląska biblioteczka: Tyle pomysłów na pomaganie!

» **strona 170**

-  facebook.com/przystanekd
-  linkedin.com/showcase/przystanekd
-  instagram.com/przystanekd
-  twitter.com/przystanekd
-  www przystanekd.pl
-  www odkryj.przystanekd.pl
-  www blog.przystanekd.pl
-  www czytanki.przystanekd.pl
-  facebook.com/zbiorkomd
-  facebook.com/zbiorkomda
-  twitter.com/zbiorkomd
-  linkedin.com/showcase/zbiorkomd
-  instagram.com/zbiorkomd
-  instagram.com/zbiorkomda
-  www kolej.przystanekd.pl
-  www zbiorkom.przystanekd.pl
-  facebook.com/smakidolnegoslaska
-  instagram.com/smakidolnegoslaska.blog
-  twitter.com/smakiblog
-  www smaki.przystanekd.pl
-  www smakidolnegoslaska.blog
-  facebook.com/instytutdolnoslaski
-  linkedin.com/company/instytutdolnoslaski
-  www instytutdolnoslaski.org
-  www regionalista.org
-  patronite.pl/przystanekd
-  buycoffee.to/przystanekd
-  fanimani.pl/przystanekd
-  28 2130 0004 2001 0663 3879 0001



BUYCOFFEE.TO/PRZYSTANEKD

Kawa to zawsze dobry pomysł!





INSTYTUT DOLNOŚLĄSKI

Przystanek Dolny Śląsk to niezależny portal o Dolnym Śląsku i tylko dzięki Wam może taki pozostać.

Kwartalnik wydajemy od 2013 roku. Jeśli chcesz podjąć z nami współpracę odezwij się do nas w mediach społecznościowych lub napisz na: redakcja@przystanekd.pl

Przystanek Dolny Śląsk można również wspierać na patronite.pl/przystanekd lub dokonując wpłaty darowizny na cele statutowe bezpośrednio na konto naszego wydawcy, Instytutu Dolnośląskiego:

28 2130 0004 2001 0663 3879 0001

Darowiznę taką można odliczyć w rocznym zeznaniu podatkowym.

List Begena

tekst i zdjęcia: Adam Bednarz "Begen"

Dzień dobry. Miła Pani, cóż ja mogę napisać. Już tylko zostało napisane, pokazane i prawie zapomniane. Nikt nie wierzył, że nadejdzie taka katastrofa. Nikt.





Przyszliśmy w niedzielę, 15 września 2024, do pracy wcześniej niż zawsze, na 9 rano. Od dwóch dni gotowaliśmy dla Ochotniczej Straży Pożarnej z Łądką ciepły posiłek. Była to tylko zupa. W niedzielę chcieliśmy upichcić im coś więcej. Jakieś drugie danie lub kilka pizz. Dzielnie walczyli dzień i noc z podtopieniami w Łądku jak i w okolicznych wsiach.

Około godziny 10:30 poszedłem do mamy zanieść Jej również coś ciepłego do jedzenia. Mama mieszka na parterze. Widok z okna kuchennego ma na ulicę Zdrojową w kierunku górnej części Łądką. I nagle zza sąsiedniego budynku ulicą zaczęła płynąć woda. Szok. Niedowierzanie. Wybiegłem przed budynek. Przejeżdżał strażak na quadzie, krzyknął w moją stronę: „Adam, pękła tama w Stroniu. Uciekajcie z Rynku jak najwyżej!” Kazałem mamie zabrać dokumenty, coś ciepłego do ubrania. Jakiś ciuch na zmianę. Pobiegnę do Abakusa. To samo kazałem zrobić żonie. Też mieszkamy na parterze. Zabrać ciuchy. Dokumenty. Ja spakowałem jakieś jedzenie.







Wyłączyłem prąd w pizzerii i wraz z pracownikiem Kubą, mamą, żoną i kotem zapakowaliśmy się w dwa auta. Stały już do połowy kół w wodzie. Uciekliśmy na naszą działkę rekreacyjną położoną z kilometr od centrum miasta i powyżej 100 m od koryta rzeki. Po drodze ściągnąłem z przydrożnego murku małego kota. Bał się wody... Został z nami do dziś. Właśnie skoczył mi na szyję i obserwuje, co piszę.

Oczywiście towarzyszył nam strach i panika. Co zastaniemy po przejściu fali? Czy będzie istniało nasze miasteczko? Nasze mieszkania i lokale gastronomiczne?

Po kilku godzinach nie wytrzymałem i zszedłem do Rynku. Sam. To, co zobaczyłem... Nie można tego opisać. Oglądałem jedynie w telewizji takie zniszczenia. Taką rozpierduchę. Brodząc w wodzie po kolana (największa moja głupota na tamten moment: woda jeszcze z mocnym nurtem, mogło coś we mnie uderzyć, mogłem wpaść w studzienkę kanalizacyjną), ale strach o to, czy coś jeszcze nam zostało z dorobku życiowego wziął górę.



Pierwsze, gdzie dotarłem, to mieszkanie mojej mamy. Mieszkanie, w którym się wychowałem. Ulga. Sądząc po ścianach poziom wody w mieszkaniu "jedyne" 12 do 15 cm. Jeszcze wtedy człowiek nie zdawał sobie sprawy, że i tak szlag trafił podłogi oraz to, że wilgoć z czasem da o sobie znać (część mebli do wyrzucenia). Zbijanie tynków itd. Niestety wszystko, co mieściło się w piwnicy szlag trafił. Trzy tony węgla, ze dwa kubiki drewna. A zima tuż tuż.

Na drugie "ogłędziny" zostawiłem sobie swoje mieszkanie. Też parter, jak u mamy. Tylko, że taki podwyższony. Można rzec półpiętro. Ale niestety również 10 cm wody. Na pocieszenie jedynie to, że zalany tylko przedpokój, łazienka, garderoba i troszkę kuchnia. Trzy pokoje są nietknięte. Uratowały je 20 cm różnicy między podłogami, taki niewielki schodek.

No i w końcu nasz zakład pracy, „Pizzeria Abakus” oraz drugi lokal tzw. przechowalnia potrzebnych sprzętów. Dramat. Odebrało mi mowę. W pizzerii około 1 m







wody. Ogródek letni wraz z wyposażeniem odpłynął niczym tratwa. Stoły, krzesła, parasole, kwiaty - dosłownie wszystko. Rozwalone drzwi wejściowe do lokalu. Witryny popękane. A to, co naniosła woda? Masakra. Prawie pół metra jakiejś mazi. Ziemia, śmieci, fekalia. Wszystkie meble, szafki, sprzęty gastronomiczne unurzane w tym syfie. A smród niesamowity. Wejście do przechowalni jest na równi z ulicą. Tam półtora metra wody i metr syfu. Zapasowy piec do pizzy, zamrażarki, krzesła, stoły i inne sprzęty. Wszystko do wyrzucenia. Z pizzerii 3/4 rzeczy również do utylizacji. Bankrut. Tylko taka myśl przychodzi do głowy. Pamiętam to jak dzisiaj. Co teraz? Kredyty, podatki, zaległości w hurtowniach, ZUS-y. Tylko iść i rzucić się do tej „rzeczki”... Tak było.

Przez jakąś godzinę chodziłem jak w amoku. Wreszcie dotarłem do żony i mamy. Nie było mnie z półtorej godziny. One płaczą, bo nie wiedziały czy jestem cały, czy coś się stało. Telefony nie działają. Prądu brak. Opowiedziałem im wszystko. Poczekaliśmy jeszcze z czterdzieści



minut i wróciliśmy do miasta. A tam chaos i destrukcja. Ludzie z wyższych części Łądką przyszli oglądać skutki powodzi. Ludzie z niższych części i ci znad samej rzeki płaczą. Szukają się nawzajem. Pytają o znajomych i o rodzinę. Jakiś oblęd. Rozmawiam ze znajomym znad samej rzeki na ulicy Langiewicza... „Begen, chłopie, ja nie mam domu! Nie mam nic! Mam tylko to, co na sobie...” Widzę: klapki, skarpetki, krótkie spodenki, jakaś bluza. Pobiegłem do domu, przyniosłem mu spodnie dresowe i dwie bluzy.

Żona zajęła się ogarnianiem mieszkania. Ja firmy. Sprzątania nie będę opisywał. Długa, żmudna i wyczerpująca praca...

Nie zapomnę nigdy pierwszej nieprzespanej nocy. Bez wody w kranie. Bez prądu. Całkowita ciemność i dezinformacja. Strach, co dalej będzie... Rano wyszedłem do miasta. Ktoś rzucił hasło, że w remizie strażackiej rozdają pieczywo i wodę do picia. Pobiegłem. Pierwszy raz od śmierci mojej babci 28 lat temu, poleciała mi łezka z oka,







gdy po odstaniu swojego w ogromnej kolejce dostałem zgrzewkę wody, chleb i parę batoników energetycznych...

Potem z dnia na dzień było coraz lepiej z pomocą humanitarną płynącą z całego kraju. Ciepłe posiłki dla potrzebujących. Dużo życzliwych, ale i nieżyczliwych wcześniej ludzi przyszło pomóc nam ogarniać skutki powodzi w naszych lokalach. Przyleciał mój przyjaciel, mieszkający od 30 lat w Hiszpanii, by pomóc mnie i innym Łądczanom w tej trudnej chwili. Wiktoria, córka mojego przyjaciela, dla której jestem przyszywanym wujkiem, założyła Zrzutkę na odbudowę naszej pizzerii. Rodzina bliższa i dalsza wspierała nas, jak tylko mogła. Znajomi, ale i obcy ludzie pomagali finansowo. Kilka instytucji, wojsko... MY POLACY JESTEŚMY TAKIM NARODEM, ŻE W TRUDNEJ CHWILI ZAWSZE RAMIĘ W RAMIĘ... takie pospolite ruszenie. Piękne to jest.

My też, pomimo własnych problemów, pomagaliśmy. Rozwoziliśmy posiłki potrzebującym, pomagaliśmy w wydawaniu rzeczy itd. Była też walka z urzędnikami,



firmą ubezpieczeniową, która nawiasem mówiąc, pomimo że minął rok od tamtych wydarzeń, nadal trwa.

Cóż powiedzieć dzisiaj? Za nami wiele nerwów, stresu, dużo pracy przy odbudowie, ale dzięki zwykłej ludzkiej życzliwości, pomocy za którą bardzo dziękujemy, udało nam się prawie wszystko doprowadzić do porządku. Po pół roku otworzyliśmy na nowo „Abakusa”. I tak mieliśmy dużo szczęścia, że tak szybko to poszło. No i nie mieliśmy tak wielkich szkód, jak niektórzy mieszkańcy zalanych terenów, którzy do dziś nadal porządkują swe domostwa. Swoje życie. Teraz wszyscy tutaj dzielimy czas na przed powodzią i po powodzi. Tak łatwo z głowy to nie wyjdzie. Ale będzie dobrze. Musi być dobrze! Pozdrawiamy i zapraszamy w nasze piękne strony. [•]

Adam Bednarz: Łądczanin z krwi i kości od 1973, jak mówi sam o sobie. Dla przyjaciół „Begen”. Od kilkunastu lat prowadzi dobrze prosperującą pizzerię „Abakus”. Klub Biznesu Ziemi Kłodzkiej wręczając Nagrody Gospodarcze "Perełka Ziemi Kłodzkiej" w 2021 roku przyznał lokalowi III miejsce w kategorii „Firma rodzinna”.



facebook.com/PizzeriaAbakus







Powódz 2024. Małe pomaganie

tekst i zdjęcia: Iwona Sakowicz

Sobota, 14.09.24. Do Wrocławia i z powrotem

Od piątku pada. A w niedzielę Agatka z Dominikiem i małym Leosiem ma lot do Anglii. Niepokój. Planowali jechać do Wrocka w niedzielę rano. Ale Żelazno już nieprzejezdne. Szybka decyzja - jadą teraz przez Polanicę...

W tym samym czasie koleżanka z psem wraca z Wrocławia. Wiem od niej, że Bardo jest przejezdne. Telefon do koleżanki. Autobusy zastępcze wysadziły wszystkich ma dworcu w Kłodzko Miasto i dalej sobie mają



radzić sami. Szybka decyzja - jedziemy po nie. Oczywiście przez Polanicę. Trochę to trwa. Niedługo okolice dworca będą całkowicie zalane. Nysa - bardzo groźna. Oglądamy jeszcze Nysę w Bystrzycy. Nie zasną dzisiaj. Córka z rodziną dociera do Wrocławia, choć w Bardzie były nerwy, bo drzewo zagroziło drogę... Śledzę wpisy na grupach internetowych. Niepokój.

Niedziela, 15.09.24. Plac Szpitalny

Cały czas pada. Zaczyna podtapiać nam kotłownię, choć pompa działa. Ale nam powódź nie grozi, o czym informuję rodzinę i znajomych, którzy piszą i dzwonią zaniepokojeni informacjami o Bystrzycy...

Jedziemy w najbardziej zagrożone w Bystrzycy miejsce – Plac Szpitalny.

Tu robi się groźnie. Pomagamy ewakuować dzieci z pierwszego piętra, proszę tu o pomoc Romów. Pomagają. Jest też pies, papuga, która jednak po chwili wraca na strych, bo klatka nie mieści się w samochodzie. Wody coraz więcej, trzeba stąd szybko odjeżdżać...



Doniesienia z okolicy są coraz gorsze. Nie wytrzymała zapora w Stroniu Śląskim... Śledzę to, o czym piszą w grupach internetowych, informuję, któredy można do nas dojechać, które drogi zamknięte.

Przestaje padać. Woda na Placu Szpitalnym opadła. Jedziemy. Rozmawiamy z tymi ludźmi, którzy ewakuowali dzieci. Ich mieszkanie ocalało przed zalaniem. Opowiadają o tym, jak znajomy bohatersko uratował są-





siada, który wpadł do wody. Wody mniej i widać zniszczenia. Ulica Kłodzka z wielką wyrwą - nieprzejezdna. Działki zalane.

Ochotnicy nadal szykują worki z piaskiem. Wspaniały zryw ludzi, którzy pracują już kolejny dzień.





Znowu pada i cały czas trzeba pilnować kotłowni przed zalaniem.

Są pierwsze doniesienia o ofiarach w okolicznych miejscowościach.

Ruszają zbiórki. Dzisiaj w Szkole Podstawowej nr 2, gdzie zakwaterowano kilku powodzian, od jutra w OPS, naszej bibliotece na Osiedlu Szkolnym i w różnych punktach miasta.

Wieczorem – informacja, że moi dolecieli szczęśliwie. Ale kolejna noc nieprzespana. Myślę sobie, jak czują się ci ludzie, którzy stracili wszystko, a czasem nie wiedzą, co dzieje się z ich bliskimi...

My mamy sucho, mamy prąd, nawet internet działa... W takich chwilach ceni się to, co mamy...

Poniedziałek, 16.09.24. Chleb

Kolejna noc z czuwaniem, czy nie zalewa kotłowni. Rano idę do sklepu. Widać wzmożony ruch kupujących. Jest jeszcze trochę bułek i kilka bochenków chleba. Kupuję jeden, bo mam jeszcze trochę z soboty.



Śledzę relacje w telewizji i w internecie. Sytuacja w Łądku, Stroniu i okolicznych wsiach jest tragiczna.

Zbiórka w bibliotece na Osiedlu Szkolnym - już rano są pierwsze dary, jest ich coraz więcej. Tworzą się kolejne mniejsze punkty zbiórek, z których pomoc jest dostarczana bezpośrednio do potrzebujących, najpierw samo-





chodami a potem pieszo. Najbliżej nas jest ten w przychodni weterynaryjnej.

Można już dojechać do Łądką i Stronia. Jedziemy do Łądką, naszym celem jest jeden z domów nad rzeką. Bio-rę kupiony rano chleb.

Brak słów na to, co widzimy. Idziemy ulicą Widok wzdłuż Białej Łądeckiej. Tu nie da się przejechać. Podaję chleb nieznałomej kobiecie sprzątajacej posesję. Mamy słodocze, konserwy, tylko chleba nie ma - mówi dzięku-jąc i uśmiechając się smutno.

Jutro będzie tu chleba do syta... Już płynie strumień pomocy.

W drodze do naszego celu pomagamy jeszcze rodzi-nie, która przyjechała po krewną poruszającą się na wóz-ku...

Dom - cel naszej podróży ocalał, ale cały parter był zalany. Ocalał także kamienny most, którego strzegł Ne-pomucen. Jest zniszczony ale stoi, tylko Nepomuk gdzieś odpłynął...



Cały czas mocno pada, pod Dino kolejka w deszczu...
Wracamy. Wieczorem porażają informacje o ofiarach,
zaginionych i hienach, które zaczęły żerować na ludzkim
nieszczęściu. Pada...

Wtorek, 17.09.24. Pomoc

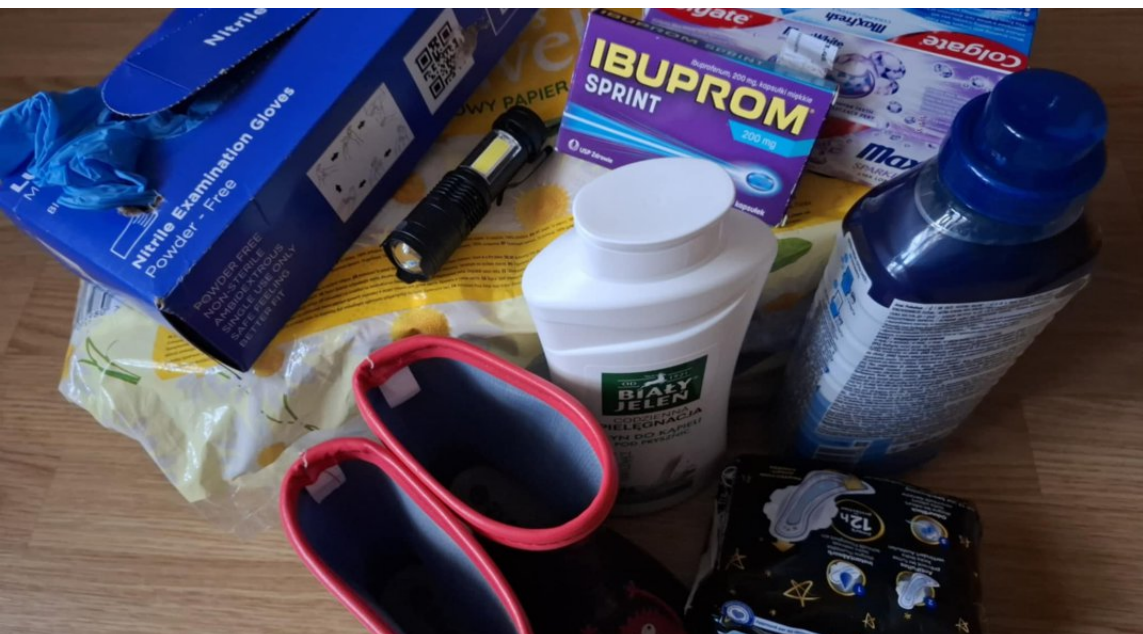
Pomagają chyba wszyscy, którzy są w stanie pomóc.
Formy są różne. W pobliżu są dwie zbiórki, o których
wiem. Jedna w bibliotece na Osiedlu Szkolnym – stąd
dary zabiera OPS, druga w lecznicy weterynaryjnej – oni
wiozą dary bezpośrednio do poszkodowanych, często
w odciętych od dojazdu miejscach, w okolicy Stronia
i Łądku, gdzie docierają ostatecznie pieszo.

Ja skupiam się na zakupie środków higienicznych,
lekarstw, małych latarek dla dzieci, baterii. Nie są to du-
że ilości, kupuję na ile mnie stać. Efekty zbiórek są pora-
żające. Wielka jest solidarność ludzi w obliczu nieszczę-
ścia. Pomoc płynie z kraju i zagranicy...

Są też inne formy. Przede wszystkim to praca fizycz-
na przy usuwaniu skutków zalania domów i gospodarstw

rolnych. Ktoś zajmuje się dziećmi powodzian, ktoś oferuje noclegi. Koleżanka gotuje w domu zupy i dostarcza w słoikach tam, gdzie inni sprzątają. Inna oferuje pranie i suszenie ubrań.

Czasem pomaganie wygląda na lans, bo publikowane są zdjęcia różnych osób na tle darów. Nie zawsze tak jest, bo jeśli ktoś prowadził zbiórkę w swoim środowisku, to czuje się zobowiązany udowodnić, że dotarł na miejsce





z darami. Nie każdą pomoc widać, niektórzy muszą iść do pracy, wielu musiało też zadbać o swoje domy, bo zalewały nie tylko rzeki, ale też wody opadowe. Niektórzy mają pod opieką dzieci czy osoby starsze, więc ich pomoc ogranicza się do darów. Tak łatwo skrzywdzić kogoś, zarzucając mu bierność a nie wiedząc, co dana osoba robi dla powodzian...

Środa, 18.09.24. Sybiracy i turyści

Dzisiaj jest doroczne spotkanie Sybiraków z okazji Światowego Dnia Sybiraka, który był 17 września. Nasi Sybiracy zastanawiali się, czy je organizować. Ostatecznie zdecydowali, że tak, choć wiadomo było, że raczej ci z kół w Międzylesiu, Łądku i Stroniu nie dotrą.

Od 2021 roku otrzymuję zaproszenie na te obchody. Była jak zawsze msza, potem przejście pod pomnik na Skwerze Sybiraków a następnie spotkanie w Hotelu Castle. Na początku dominował temat powodzi. Sybiracy, którzy ucierpieli w powodzi mogą się ubiegać o dodatkową pomoc od swojego związku. Warto im przekazać tę



informację i pomóc w wypełnieniu niezbędnych dokumentów. Jest na to chyba 30 dni. Ale spotkanie było też okazją do oderwania się choć na chwilę się od spraw związanych z kataklizmem.

W drodze powrotnej na dawnym dworcu PKS, tu gdzie przed powodzią zatrzymywały się autobusy komunikacji zastępczej, widzę dziewczynę i chłopaka z wielkimi plecakami i psem. Okazuje się, że wracają z Międzygórza do Poznania i rano wykupili przez internet bilety na pociąg. Mówię im, że pociągi są odwołane. Nie bardzo mi wierzą, bo widzieli jakieś autobusy, myślą, że to te zastępcze.

W tej sytuacji idziemy się upewnić na komisariat policji, gdzie potwierdzają moje informacje. Dowiadują się, że muszą sobie radzić sami.

Próbuję im na wszelki wypadek załatwić jakiś nocleg, ale wołą jechać okazją w stronę Poznania. Wieczorem ktoś stamtąd wyruszy im naprzeciw. Tylko jest mała szansa, że ktoś ich stąd zabierze, bo są z psem.



Pytamy, szukamy... I udaje się. Wspaniała pani z pobliskiego baru obiecuje, że o 14.00 zawiezie ich busem, będzie jechać do Kłodzka. Polecam obiad w tym barze, tam zawsze można dobrze zjeść.

Żegnam się mówiąc, że mam nadzieję, iż pomimo wszystko będą mieć dobre wspomnienia z pobytu u nas, bo jest tu pięknie a ludzie są fajni...

I, że jeszcze tu wrócą...

Podsumowanie. Życie po powodzi

W porównaniu z innymi miejscowościami woda w niewielkim stopniu uszkodziła Bystrzycę Kłodzką, w całej gminie są już znacznie większe szkody.

Skutki powodzi będziemy odczuwać długo. Chyba możemy na razie zapomnieć o takich inwestycjach jak remont czy budowa basenu, zagospodarowanie placu rekreacyjnego na Osiedlu Szkolnym itp. Ważniejsze będą naprawy dróg, mostów, zapewnienie mieszkań tym, co przynajmniej na razie, nie mogą wrócić do swoich.

Każdy sobie może odpowiedzieć na ile zdaliśmy eg-



zamin z wzajemnej pomocy, czy daliśmy radę logistycznie, czy czuliśmy, że władze panują nad tym, co się dzieje. Z mojej perspektywy nie wyglądało to wszystko źle, ale być może inni mają inne zdanie.

Niektórym puszczaają nerwy, dochodzą informacje o nie do końca sprawiedliwym dostępie do sprzętu typu





agregaty, osuszacze, pompy. Niektórzy nie mają czasu iść po dary i muszą liczyć na to, że ktoś je im dostarczy. A potrzeby są ogromne, szczególnie w zakresie specjalistycznego i drogiego sprzętu.

Niektórych darów jest zbyt dużo, inne są niezbyt trafione. Ale dba się o to, żeby nic się nie zmarnowało. Nad-





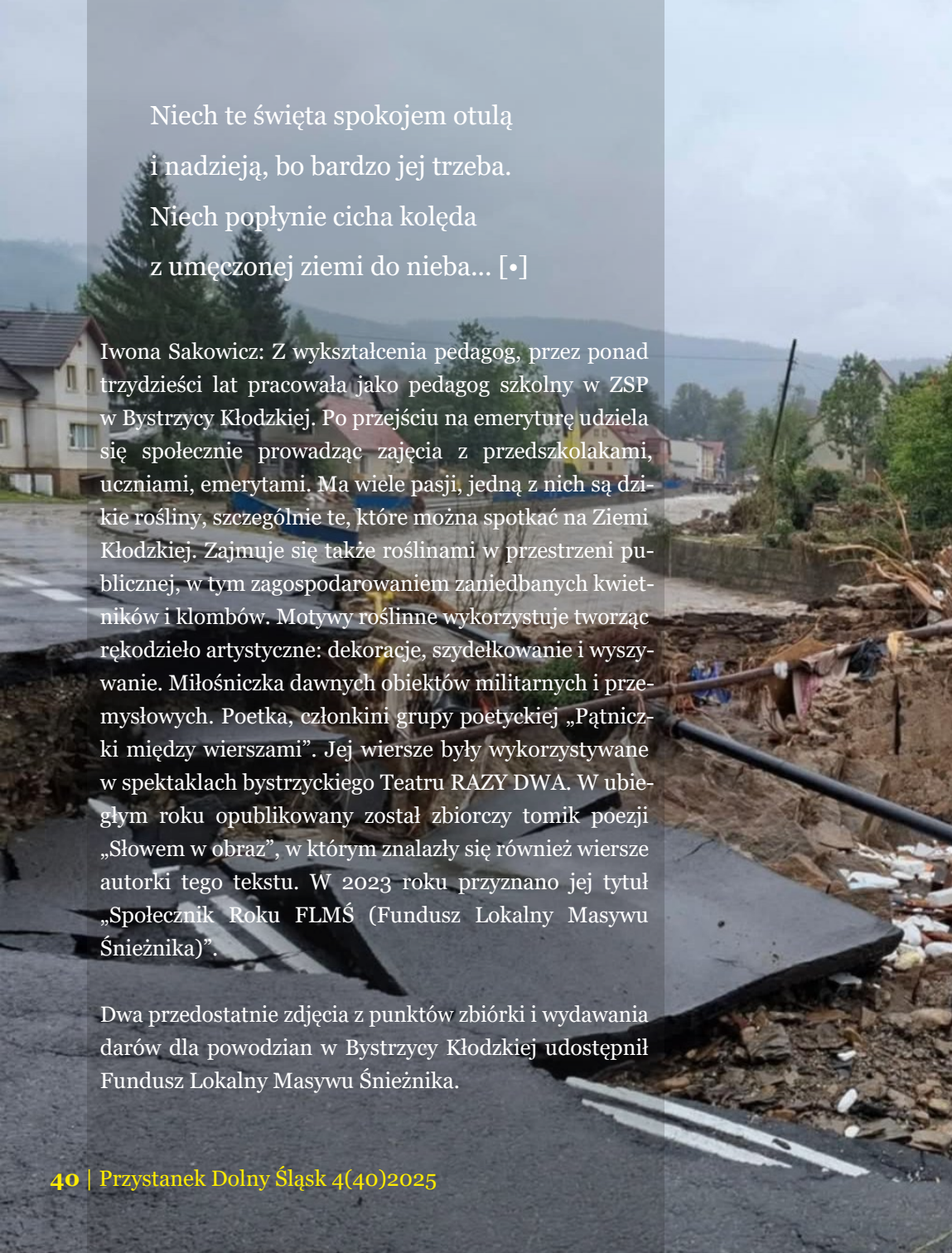
miar chleba jest suszony, przekazywany dla zwierząt, a młodzież z mojej dawnej szkoły postanowiła czerstwe pieczywo przerobić na tosty dla wolontariuszy...

Po kilku słonecznych dniach zaczęło padać, ale co jakiś czas nad Bystrzycą świeci słońce.

Okolice Nysy przy ulicy Floriańskiej to miejsca, które najbardziej ucierpiały... Wszystkie kasztanowce, o których zachowanie rok temu walczyliśmy przetrwały napór wody. Są mocne pomimo tego, że dawno skończyły sto lat...

KOLEDA POWODZIAN

Idą święta, a my wciąż bezdomni,
pogrążeni w codziennej tułaczce,
bo gdzie mamy przywitać dzieciątko?
W pustych ścianach, na mokrej posadzce?
I choć czeka na nas stajenka
z ciepłym gestem i dobrym słowem,
to prawdziwe święta są w domu.
Nasze domy wciąż nie gotowe...



Niech te święta spokojem otulą
i nadzieją, bo bardzo jej trzeba.
Niech popłynie cicha kolęda
z umęczonej ziemi do nieba... [•]

Iwona Sakowicz: Z wykształcenia pedagog, przez ponad trzydzieści lat pracowała jako pedagog szkolny w ZSP w Bystrzycy Kłodzkiej. Po przejściu na emeryturę udziela się społecznie prowadząc zajęcia z przedszkolakami, uczniami, emerytami. Ma wiele pasji, jedną z nich są dzikie rośliny, szczególnie te, które można spotkać na Ziemi Kłodzkiej. Zajmuje się także roślinami w przestrzeni publicznej, w tym zagospodarowaniem zaniedbanych kwietników i klombów. Motywy roślinne wykorzystuje tworząc rękodzieło artystyczne: dekoracje, szydełkowanie i wyszywanie. Miłośniczka dawnych obiektów militarnych i przemysłowych. Poetka, członkini grupy poetyckiej „Pątniczki między wierszami”. Jej wiersze były wykorzystywane w spektaklach bystrzyckiego Teatru RAZY DWA. W ubiegłym roku opublikowany został zbiorczy tomik poezji „Słowem w obraz”, w którym znalazły się również wiersze autorki tego tekstu. W 2023 roku przyznano jej tytuł „Społecznik Roku FLMS (Fundusz Lokalny Masywu Śnieżnika)”.

Dwa przedostatnie zdjęcia z punktów zbiórki i wydawania darów dla powodzian w Bystrzycy Kłodzkiej udostępnił Fundusz Lokalny Masywu Śnieżnika.





Panta rhei

tekst: Katarzyna Northeast

– Jedziemy sprzątać Ziemię Kłodzką! – rozlegały się entuzjastyczne głosy zakłęte w cyfrowych wiadomościach mediów społecznościowych.

Spośród licznych propozycji sobotniego „wypadu” w stronę Kłodzką – inaczej niż zwykle, bo bynajmniej nie po to, by zdobywać szczyty Gór Stołowych – wybrałam opcję z „chłopakami z osiedla”. W zasadzie takiego określenia można byłoby użyć raczej w ’97. Obecnie „chłopa-ki” osiedlowe mają już własnych chłopaków i dziewczęta – na tyle wyrośniętych, że pojechali z nami. Dumnie więc reprezentowaliśmy trzy pokolenia ratowniczo-sprzątają-



ce: pokolenie ojców, dzieci oraz moje – usytuowane gdzieś pomiędzy. Ruszyliśmy skoro świt kilkoma samochodami zaopatrzeni w to, co mogło się przydać – sprzęt, łopaty, wiadra, szmaty. Każdy obowiązkowo miał kalosze i gumowe rękawice. Właściwie nie wiedzieliśmy, co z tego wszystkiego rzeczywiście nam się przyda. Wiedzieliśmy tylko, dokąd mamy jechać.

Podróż była wyśmienita. Rozmowy, śmiechy, wspomnianie dawnych czasów i dzielenie się bardziej aktualnymi nowinkami, do tego cudny złotojesienny poranek i spokój dolnośląskich wsi, które po dniach pełnych napięcia mogły odetchnąć z ulgą, sprawiły, że już niemal zapomniałam o stresie poprzedniego tygodnia, kiedy fala przepływała przez Wrocław, i niepewności tego, co zastaniemy w miejscowości, do której zdążaliśmy.

To wszystko wydawało się tak bardzo odmienne od roku '97. Inaczej widzą powódź oczy dziecka. W tamte upalne dni lipca zbliżająca się do miasta fala stanowiła raczej zapowiedź przygody, a niepokój dorosłych wyda-



wał się co najmniej niezrozumiały.

– Dziś w nocy ma przejść największa, czterometrowa fala! – alarmowano.

Nie wiedziałam wówczas, jak miałyby wyglądać taka fala, ale wyobrażałam sobie ją mniej więcej tak:



Miała więc w sobie silne połączenie mitologii ze współczesną stylizacją komiksu, co okrutnie pozbawiało ją wymiaru lękogennego. Wiedziałam też, że nawet najwyżsi dorośli nie osiągają czterech metrów, zatem naprawdę trudno było sobie realistycznie zobrazować taką falę.

Kiedy rzeka płynęła jeszcze w korycie, mieszkańcy (włączając mnie) szli oglądać jej poziom. Mam wrażenie,



że stanowiło to pewną formę kontroli nad rzeką, może była to nawet społeczna przestroga, żeby rozhulany żywioł baczył na swoje zachowanie i trzymał się koryta. Od wału do rzeki trzeba było przejść odcinek przez trawę i krzaki. Po drodze minęłam niewielkie wgłębienie – być może o głębokości równej wysokości moich kolan. Na dnie pojawił się niewielki otwór, przez który zaczęła wypływać – ciekim jak sznurek od worka z piaskiem strumieniem – woda. Przeszłam nad nią.

„Kontrola” rzeki zajęła mi może pięć minut. Woda płynęła szybko, ale bezinwazyjnie: wciąż trzymając się granic koryta. W drodze powrotnej zatrzymałam się przed wgłębieniem. Tym razem musiałam je obejść, ponieważ stróżka wody zdążyła już wypełnić niemal całość, tworząc słodkowodny mikro zbiornik. Zrozumiałam, że woda zalewa nasze miasto nie za pomocą konkretnego, czterometrowego potwora rzeczno, ale wdiera się do niego w sposób bardziej wyrafinowany – przez tysiące drobnych niestrzeżonych szczelin w tkankach Wrocławia.



Niemniej w tamtą lipcową niedzielę przed falą czułam przypływ raczej przyjemnych emocji i ciekawości. Całe osiedla (nasze i sąsiadujące) „wyszły na wały”, by wspólnie układać worki z tonami piachu. Służby i cywile pracowali razem i wzajemnie sobie pomagali. Wyobrażałam sobie, że kiedy nas zaleje (bo mimo tych intensywnych prac, byłam jednak przekonana o zbliżającym się zwycięstwie potwora rzecznego), pontony ratownicze przypłyną albo – tu jeszcze ciekawsza opcja – helikopter zabierze nas z dachu. Potwora jednak skierowano na przedmieścia Wrocławia w 1997, przez co ostatecznie nie dowiedziałam się, jak to jest być ratowaną z powodzi. Wtedy uniknięcie żywiołu spotkało się z moim dziecięcym rozczarowaniem, zaś w 2024 – z wyraźną ulgą.

Rok 2024 to nie rok 1997, a wyobrażenia osoby dorosłej rządzi się innymi prawami niż wyobrażenia dziecka. Realia również się zmieniły. Tym razem nie wolno było wychodzić na wały – alerty RCB wciąż o tym przypominały. Nie było wspólnych akcji ratowniczych, a jedynie



milczące akcje indywidualne – obłożenie domów i kamienic racjami worków z piaskiem, które sięgały do połowy okna w przyziemia. Daleko mi do oceny, która postawa była lepsza; raczej są to wrażenia, obserwacja. W '97 było głośno i dynamicznie; wielu nuciło powodziowy hit „Moja i twoja nadzieja”. Nawet gdyby teraz jakiś nowy hit wybrzmiał, zniknąłby po tygodniu – zatonął w odmętach Youtube’a i wciąż nowych, zmiennych wiadomościach. *Panta rhei*. Nawet groza obecnie nie potrafi długo zagrozić miejsca w życiu człowieka miotanego czterometrowymi falami informacji.

Żeby jednak nie ulegać nadmiernej nostalgii i sentymentom, należy zwrócić honor rokowi 2024 w jednym aspekcie. Otóż choć wiek już nieco pozbawił mnie przygodowej perspektywy powodzi, tym razem pozwolił mi uczestniczyć w akcji ratunkowo-sprzątającej (a w tym przypadku – wyłącznie sprzątającej) i niczym Odyseusz wybrać się w dobrym towarzystwie chłopaków z osiedla oraz wielu innych Polaków, którzy w tym czasie użyczyli



swoich rąk, by wspólnie przywrócić porządek w Ziemi Kłodzkiej. Na miejscu znajomy ksiądz poinformował nas, które domy zostały zalane i dokąd powinniśmy się kierować. Tu nasza grupa rozdzieliła się na kilka mniejszych. Moja trafiła do domu, którego parter został całkowicie zalany. Tuż pod sufitem ciągnął się ślad, pokazujący, dokąd sięgnęła woda.

– Wszystko pływało – mówiła właścicielka. – My mieszkamy w innym mieście na co dzień, więc nie było nas. Dopiero dziś zobaczyliśmy zniszczenia.

Do miejscowości zaczęły zjeżdżać grupy wolontariuszy. Przy „naszym” domu pracowały trzy ekipy. Najtrudniej przyszło zebranie mułu. Próbowaliśmy różnych sposobów, by w końcu wybrać optymalny – gumową ściągaczkę do podłogi. Sprzątanie po powodzi nie należy do umiejętności, której uczą w szkole czy nawet w domu. Tu sprawdzała się metoda prób i błędów. Z godziny na godzinę mój pierwotny zapał stopniowo gasł zalewany od czasu do czasu wiadrami zimnej wody.



Kiedy weszłam do domu za pierwszym razem, rzucił mi się w oczy zabytkowy piec kaflowy. Zrobił na mnie ogromne wrażenie, choć do dziś nie mogę przypomnieć sobie jego koloru. Stał jednak w tym wilgotnym, pustym pomieszczeniu, oblepiony mułem, jakby chciał powiedzieć „Przetrwałem. Woda mi nie straszna; moim żywiołem – ogień. Jestem gotowy do pracy”. Przypominał piec podobny do bramy triumfalnej z wiersza Białoszewskiego. Po pewnym czasie, gdy porządkowałam ogród, z domu rozległ się huk. Zerknęłam do środka. Kilku mężczyzn kilofami rozbijało piec. Na podłodze leżały roztrzaskane kafle.

– Dlaczego go rozwalacie? – zapytałam zdziwiona.

– Właścicielka kazała.

– Tak – potwierdziła, wchodząc do pomieszczenia. – Nic nie może zostać. Względy higieniczne. Poza tym firma ubezpieczeniowa tego wymaga.

I tak opustoszał dom poza wybranymi przedmiotami o wartości pamiątkowej, którymi firma ubezpiecze-



niowa nie była zainteresowana. Każdy etap sprzątanía był fotografowany, by ubezpieczyciel nie miał żadnych wątpliwości co do rozmiaru szkód. Zniszczenia miały mieć charakter totalny.

Część rzeczy zwieźliśmy na prowizorycznie zorganizowane wysypisko. Zostawiono tam wiele zniszczonych przedmiotów, mebli, ale niektóre wydawały się w dobrym stanie. Czy powodzianie w 1997 również pozbywali się wszystkiego, co musnęła woda? Nie wiem. Mój wzrok przyciągnął komplet sześciu dębowych, misternie rzeźbionych krzeseł. Nie wyglądały na zniszczone przez wodę.

– Nie wystarczyłoby zdezynfekować je i osuszyć? – zapytałam z powątpiewaniem. – Przecież gdyby chodziło tylko o higienę, należałoby pewnie rozebrać dom do fundamentów.

– Chodzi o higienę – usłyszałam po raz kolejny tego dnia – Wszyscy pozbywają się wszystkiego, czego dotknęła woda.

Potem jednak ktoś dodał:



– Yyy... Pewnie z tego wysypiska i tak lepsze rzeczy zostaną wzięte w najbliższych dniach. Na pewno znajdą się chętni. Zawsze tak jest.

Widziałam jak dookoła mnie ludzie kiwają głowami.

Wiadro zimnej wody.

Podczas pracy powoli do mnie docierało, że najbardziej gorliwi i entuzjastyczni są wolontariusze. Natomiast w „naszym” domu właściciele niewiele z siebie dawali, żeby nam pomóc. Jeszcze mocniej zadziwiła mnie młoda, dość zadbana kobieta mieszkająca w okolicy, choć nie wyglądająca na szczególnie dotknięta powodzią.

– Aha! Z Wrocławia przyjechaliście? Coś podobnego! A jakie jeszcze prace wykonujecie na co dzień? – zapytała mnie tonem biznesowym. Otworzyłam szeroko oczy. Na co dzień?!, pomyślałam z niedowierzaniem. Przed oczami wyobraźni stanęli moi znajomi, którzy tego dnia wybierali się do Ziemi Kłodzkiej i którzy prawdopodobnie w tym czasie sprząтали sąsiednie miejscowości. Rozejrzałam się po wolontriuszach krzątających się przy



domach z wiadrami i łopatami. Jacyś nauczyciele by się pewnie tu znaleźli, kilkoro przedsiębiorców, ekspedientów, lekarzy, pracowników fizycznych, naukowych, oczywiście studentów... Jednak ton i pytanie tej kobiety sugerowały, że w takim czasie przyjechała w poszukiwaniu firmy remontowo-budowlanej!

Wiadro zimnej wody.

To oczywiście jedynie pewien wycinek rzeczywistości. Zanim wyruszyliśmy w drogę powrotną, pracowaliśmy w jednym domu, w który doszło do bardzo poważnych zniszczeń i mieszkańcy tego domu nieustrudzenie pracowali razem z nami, żeby zdążyć przez zmrokiem. W miejscowości zorganizowano również posiłki dla wolontariuszy, co świadczyło o wdzięczności i wspólnym zaangażowaniu. To był niewątpliwie ważny aspekt naszego krótkiego w tamtym regionie. Niewątpliwie były też domy, które ogromnie ucierpiały i wszystko tam nadawało się na wysypisko – niezależnie od wymogów firmy ubezpieczeniowej.



Wracaliśmy po południu. Sznury samochodów wiozących wolontariuszy z różnych zakątków Ziemi Kłodzkiej sunęły znużone autostradą. Dolny Śląsk, skąpany w ciepłych, osuszających zalane tereny, promieniach zachodzącego słońca, przygotowywał się do niedzielnego odpoczynku.

Złotobrzazowe korony drzew kołysały się na jesiennym wietrze – zupełnie niewzruszone powodzią patrzyły w przyszłość: zbliżającą się zimą.

Nasza pomoc stanowiła kroplę w morzu prac, które jeszcze czekały Kłodzko, Stronie, Łądek Zdrój... Mieszkańcy zakasali rękawy, firmy ubezpieczeniowe przygotowywały rzeczoznawców i księgowych. Słońce również potrzebowało wyteńczyć promienie, żeby w końcu osuszyć drewno przygotowane latem na zimowy okres grzewczy. Teraz przed nami rozciągała się droga do domu. Zmierzch otulała cisza. W niej zaś rozlegały się dzwony na Anioł Pański i jakby echem w mojej głowie – dźwięk potłuczonych kafli starego pieca. [•]



Chrystus Frasobliwy
ok. 2010, drewno lipowe, farba akrylowa
zbiórka Jacek Gajewski



Życie ręcznie wyrzeźbione

tekst: Tomasz Karamon

zdjęcia: Hanna Szurczak

W Bardziej zawsze był ktoś, kto dłubał w drewnie. Kornauer, Kommerthor, Hartmann, Jäschke, Strauss, Thör – rzeźbiarze, których nazwiska zachowały się w parafialnych księgach, a po których zostały ołtarze, konfesjonale i przydrożne figury świętych. Po Janie Giejsonie zostanie więcej. Bo Giejson wciąż jest. Wciąż rzeźbi. I to zmienia wszystko.



We wrześniu 2024 roku przysłała woda. Wielka, brudna, nagła. Zalała dom, zniszczyła pracownię, galerię, wdarła się między rzeźby, farby i narzędzia. Część prac przepadła, inne pokrył szlam. Giejson nie napisał dramatycznego posta. Nie poszedł do mediów. Po prostu, jak zawsze, wziął dłuta, które ocalały z powodzi, i zaczął od nowa.

I właśnie „Od nowa” – tak zatytułowano wystawę jego prac w Muzeum Etnograficznym we Wrocławiu. Choć zaczęło się od wody, tytuł nie opowiada o katastrofie. Opowiada o sposobie życia. O tym, że u Giejsona nic nigdy nie jest skończone. Nic nie trwa raz na zawsze. Jego życie nie składa się z gotowych dzieł, tylko z codziennej pracy. Dłubaniny dla wewnętrznego porządku. Zawsze czeka jeszcze jakaś twarz do wyrzeźbienia. Jeszcze jedno

Wystawa *Jan Giejson. Od nowa* była dostępna w Muzeum Etnograficznym we Wrocławiu od 25 października do 30 grudnia 2025 roku. Pokazano blisko 70 prac wykonanych w drewnie w ciągu ponad sześćdziesięciu lat działalności artysty. Wystawę zapowiadaliśmy na naszym blogu odkryj.przystanekd.pl



spojrzenie, które ukryło się w lipowym klocku. Jeszcze jeden gest, który domaga się wydobyć. „Od nowa” nie znaczy: po zniszczeniu. Znaczy: codziennie. Bo jego życie to nie stan, który się osiąga. To ruch. Proces. Cicha wytrwałość.

Nie da się wejść do tego świata przez ekran. Nie znajdziesz go na Facebooku. Nie ma telefonu. Nie korzysta z maila. Nie umawia się przez formularze kontaktowe. Jeśli chcesz się z nim skontaktować, musisz przyjechać do Barda. Podejść na Kolejową. Odnaleźć pracownię. Zapukać. A potem, co dziś już niemal niespotykane, po prostu zobaczyć, czy się go zastanie.

Bo może być w domu. A może nie. Może poszedł do sklepu. Może na ryby. Może właśnie coś dłubie i nie usłyszy pukania. Może ma dzień bez ludzi. I nie ma w tym żadnej złej woli. Po prostu: nie ma go i tyle. Nie zostawił kartki. Nie ustawił automatycznej odpowiedzi. Nie tłumaczy się. Nie informuje. Żyje po swojemu. Tak, jak dawniej. Tak, jak dziś już nikt nie ma na to odwagi.



Święty Franciszek
ok. 2021, drewno lipowe
własność Elżbiety Berendt



Jan Giejson rzeźbi od sześćdziesięciu lat. Kapliczki, krucyfiksy, anioły. Najczęściej Matki Boskie, Chrystusy Frasobliwe. Jego święci są tacy jak ludzie, których spotyka się w życiu – trochę pochyleni, trochę milczący, czasem zmęczeni, a czasem zamyśleni. Każda rzeźba wygląda, jakby Giejson nie tyle ją wyrzeźbił, co powoli wydobył z wnętrza drewna kogoś, kto już tam był od dawna. I tylko czekał, aż ktoś go stamtąd wyciągnie.

Nie rzeźbi po to, żeby sprzedać. Ani po to, żeby mieć wystawę. Rzeźbi, bo musi. Bo inaczej nie potrafi. Bo coś go woła. I to coś nie milknie od dziesięcioleci. Nie potrzebuje publiczności, lajków, followersów, powiadomień ani marketingu. Potrzebuje kawałka drewna, trochę dziennego światła i świętego spokoju.

Wyremontowana po powodzi galeria przy Kolejowej to nie showroom. Nie butik z „figurkami”. Nie „atelier z klimatem”. To świat Jana Giejsona. Świat zapachu świeżego drewna, kolorowych farb, ciszy, przypadkowych rozmów i nieprzypadkowych spojrzeń. Czasem



znajdziesz tam jego psa. Czasem spotkasz Danutę – żonę, która maluje twarze rzeźb i od lat tworzy z nim duet. On dłubie. Ona dopowiada. Bo rzeźba, podobnie jak życie, nie jest tu dziełem jednego człowieka. U Giejsona nie ma cennika. Nie ma kolorowych opakowań z kartonu ani opisu w trzech językach. Jest tylko rzeźba i decyzja: bierzesz albo nie. A jak nie bierzesz to też dobrze. To nie zmienia kompletnie nic.

Bo świat, w którym żyje Jan Giejson, powoli znika. Świat, w którym nie jesteś dostępny przez całą dobę. W którym możesz nie odebrać telefonu, bo go nie masz. W którym możesz robić coś dla siebie, bez potrzeby tłumaczenia się z tego komukolwiek. W którym nie wiesz, co dziś było „na topie”, bo właśnie strugałeś sukienkę Madonny z drewna lipowego.

I może właśnie dlatego Giejson robi dziś tak ogromne wrażenie. Bo pokazuje, że można żyć inaczej. Że można nie gonić. Nie krzyczeć. Nie reklamować się. Nie rozpychać łokciami. Że można nie wiedzieć, co słyhać na

WĄTKI
LOKALNE





Instagramie. Że można być tylko tu. Tylko w Bardzie. Tylko w drewnie. I robić to nieprzerwanie przez sześćdziesiąt lat. Bez tłumaczenia się, że to ma sens.

Niektórzy nazywają jego twórczość sztuką ludową. Może taka jest. Ale jeśli tak, to niech to będzie sztuka ludzka – nieupudrowana, nie na pokaz, nie dla efektu. Zrobiona ręką, która zna zmęczenie, oczami, które widziały już wiele, i sercem, które nie lubi się spieszyć.

Bo to, co robi Jan Giejson, to w gruncie rzeczy pielęgnowanie formy dewiacji. Spoglądanie w górę, gdy wszyscy od dawna patrzą już tylko w dół – w swoje ekrany. Popijanie herbaty, gdy świat domaga się koktajlu. Rzeźbienie Madonn, o które nikt nie prosił. To codzienna robota bez potrzeby udowadniania, że jest potrzebna. Podnoszenie dłuta, nie telefonu. Bycie w tym jednym procencie ludzi, którzy jeszcze potrafią naprawdę się skupić, naprawdę coś stworzyć, naprawdę być.

To nie bunt w filmowym stylu. To cicha rebelia. Bez fajerwerków, bez dramatów, bez okrzyków „patrzcie na



mnie”. Jest tylko decyzja, że nie trzeba brać udziału w tym, co nas rozprasza, zagłusza i osłabia. Że można robić swoje. I nie pytać świata o pozwolenie. To dziś najrzadsza forma odwagi. I może ostatnia.

W Bardzie zawsze był ktoś, kto dłubał w drewnie. Ale został już tylko jeden. Najprawdopodobniej ostatni.

Nazywa się Jan Giejson. [•]

Tomasz Karamon: Z wykształcenia politolog. Od wielu lat ceniony twórca tradycyjnych, drewnianych form piernikarskich. Pasjonat Barda od ćwierć wieku – ożywia historię miejscowości, pokazując, w jaki sposób przeszłość i teraźniejszość przeplatają się tutaj w niekończącym się cyklu. Od 2013 roku prowadzi na Facebooku projekt *Bardo – na tropie tajemnic historii*, który koncentruje się na odkrywaniu mało znanych aspektów dziejów Barda. Łączy badania archiwalne z opowieściami mieszkańców, legendami i przekazami ustnymi, przybliżając nieoficjalne, często zapomniane narracje. Projekt promuje lokalne tradycje oraz angażuje społeczność. W 2023 roku Tomasz Karamon został wyróżniony stypendium Województwa Dolnośląskiego w dziedzinie dziedzictwa kulturowego. Autor reportażu *Co widziała Matka B. Opowieści z Barda*.



facebook.com/bardo.na.tropie.tajemnic.historii



instagram.com/bardo.na.tropie.tajemnic





Barbara

tekst: Kaja Sajewicz, Wit Derewecki

W tym roku 60% muzyków korzystało z narzędzi Sztucznej Inteligencji, a 82% słuchaczy nie odróżnia tej z algorytmów od „starej”, „ludzkiej” muzyki. Dziwne? Szokujące? Zastanawiające? Nieuchronne?

Pewnie wszystko naraz. Tak, SI to potężny przełom na nowo definiujący każdą naszą aktywność, również tę artystyczną, rzemieślniczą. Przełom, który nie tylko zmienia wszystko, ale przede wszystkim pozostawia nas w przekonaniu, że nie ma już powrotu do przeszłości, drzwi do niej zatrzasnęły się bezpowrotnie.



Manufaktura Szkła *Barbara* w Polanicy Zdroju w tym kontekście jawi się niczym piękny, kolorowy motyl sprzed 100 milionów lat, zatopiony w bursztynie z epoki kredy. Z jednej strony to świetlisty pomnik unikalnego rzemiosła artystycznego, z drugiej mocny kontrast dla automatyzacji, cyfrowej rewolucji.

A przecież *fatum inevitabile* (łacińskie określenie oznaczające dosłownie: nieuchronny los) skazał już właściwie na niebyt produkcję szkła w tym znanym kurorcie. Kiedy w 2018 roku upadł projekt Tadeusza Wrześniaka, widmo końca huty stało się groźnie realne. Tu niezbędny wydaje się krótki zarys historyczny.

Na podstawie źródeł archiwalnych i badań regionalnych (głównie czeskich) przyjąć można, że na dzisiejszej Ziemi Kłodzkiej istniały aż trzy rejony szklarstwa. Najstarsze huty powstały na południowy wschód od Bystrzycy Kłodzkiej w kierunku Międzylesia. W górach i na pogórzu od XIII i XIV wieku oraz ponownie w II połowie XVIII wieku. Zakładano je z inicjatywy kościelnej i świe-



ckiej. Do pierwszego rejonu należy zaliczyć huty w Strachocinie, Wilkanowie, Szklarce, Szklarni, Różance, Długopolu Górnym, Poniatowie, Piaskowicach, Spalonej, Lasówce i Batorowie.

Drugi, mniejszy region zlokalizował się na północnym zachodzie, niedaleko Nowej Rudy – to huty Jugów i Wolibórz. W trzecim, najmłodszym, funkcjonowała huta szkła w Szczytnej z XVIII wieku.

Dzieje produkcji szkła w samej Polanicy-Zdroju są stosunkowo młode. Przedsiębiorca Franz Wittwer założył hutę szkła kryształowego w Bad Altheide (ówczesna nazwa Polanicy-Zdroju) w 1912 roku. Jej pełna nazwa: Franz Wittwer Kristallglas – Huttenwerke Altheide Bad. Jej wyroby zyskały światową sławę, współpracując z projektantem i grawerem Rufinem Klausem Koppелеm, autorem słynnej serii kieliszków Venezia. Działalność zakładu ustała w latach 50. XX wieku*.

* K. Behrens-Watzlawik, J. Stefaniak, *Szkło w Kłodzku i na Ziemi Kłodzkiej*, Muzeum Ziemi Kłodzkiej, Kłodzko, 2012. Publikacja szeroko opisuje historię szklarstwa w regionie.





Ta interesująca nas huta, której współczesnym wcieleniem jest manufaktura, powstała w 1974 roku pod nazwą Huta Szkła Artystycznego *Barbara* i jest nierozdzielnie związana z pomnikową postacią profesora Horbowego, który zainicjował jej byt. Wchodząca organizacyjnie w skład Huty Sudety placówka miała status naukowo – badawczej dla potrzeb przemysłu szklarskiego. Huta realizowała wyłącznie krótkoseryjne projekty. Szybko, opierając się na własnej, szeroko rozwiniętej technologii, wzornictwie i produkcji zdobyła swój styl, charakter. Jej wyroby, szczególnie projektowane przez samego Horbowego cieszą się do dzisiaj wielkim powodzeniem w kraju i zagranicą*.

Ale wróćmy do współczesności, do końca „ery Wrześniaka”, do roku 2018. Z ogromnym szacunkiem do przeszłości, jej sławnych i wiekopomnych postaci, celem

* W. Banaszczyk, *Szkło i kryształ Dolnego Śląska: historia, tradycja, wzornictwo*, Wydawnictwo regionalne, Wrocław 2018.

Na sąsiedniej stronie: Zbigniew Horbowy / fotografia ze zbiorów jego żony, Krystyny Horbowy



niniejszego artykułu jest zachęcenie do odwiedzenia, aktywnego uczestnictwa w bogatej ofercie manufaktury.

Rok 2019 stał się arcyważną cezurą w jej współczesnych dziejach. Obiekt kupiła polska firma rodzinna



fot. Tadeusz Lejczak / archiwum Manufaktury Szkła Barbara w Polanicy Zdroju



z Kłodzka, spółka *Kolglass* państwa Kolatów. Wcześniej firma ta kupiła i z powodzeniem prowadzi od 2006 roku Hutę Szkła Kryształowego *Julia* w Piechowicach. Pierwotnym, ambitnym celem było reaktywowanie produkcji huty, jednak był to szczególny czas – skutki pandemii, inflacji, rosnące ceny gazu, prądu, brak pracowników i zerwane łańcuchy dostaw błyskawicznie zweryfikowały marzenia o pełnej produkcji. W tej sytuacji obiekt stał się doniosłym, żywym pomnikiem starych technik, sentymentalną retrospektywną podróżą w czasie. Wartością materialną i duchową. Myślę, że nie będzie zbędnym patosem jeśli przedsięwzięcie Państwa Kolatów zdefiniujemy jako projekt biznesowy z wyraźną nutą misyjnego patriotyzmu regionalnego, w którym czuje się miłość do szkła artystycznego, polskiego rzemiosła, szacunek do ich minionej świetności.

Jak wygląda zwykły dzień w tym niezwykłym miejscu? Cyklicznie co 30 minut ekipa manufaktury prowadzi dla gości wielopoziomowe pokazy, wykłady i wyciecz-



ki po obiekcie. Udział w nich to zapewniona duża dawka edukacji historycznej, technologicznej, wzbogacona licznymi ciekawostkami, dygresjami.

Wielkie wrażenie robi wnętrze pieca hutniczego wraz z zastygłą, artystycznie udrapowaną masą szklaną oraz pokazy pracy hutników, którzy „na żywo” na podestach, świetnie widoczny dla widzów niczym aktor w teatrze, tworzy za pomocą tzw. piszczeli małe dziełka ozdobne, równolegle objaśniając kolejne czynności.

Kolejną pozycją jest możliwość obserwowania hutniczego wyrobu szklanych artefaktów w technice lampworking. Jej historia sięga starożytnego Egiptu. Efekty pracy artysty w postaci figurek, przeróżnych ozdób (np. róża kłodzka, Liczyrzepa, znaki zodiaku, zwierzęta) można kupić w sklepie firmowym. Mieniające się kolorami urocze drobiazgi są doskonale na prezent. Oferta jest aktualizowana, dostosowana do okazji, kalendarza.

Dla gości choć trochę obeznanych z polskim dizajnem atrakcją jest starannie dobrana ekspozycja polskie-



go wzornictwa szkła artystycznego, w której części poświęcona profesorowi Zbigniewowi Horbowemu, którego najbardziej płodny okres w twórczości przypadł na lata 70. i 80. XX wieku, kiedy kierował autorskim studium projektowym (na wzór Rosenthala) w Zakładzie Szkła Artystycznego *Barbara* w Polanicy Zdroju. Pokazywane i omawiane są również prace z czasów kiedy hutą zarządzał w latach 90. XX wieku Wojciech Petryk oraz z lat 2000. XXI wieku – okres Tadeusza Wrześniaka.

Ten ostatni jesienią bieżącego roku symbolicznie „wygasił” ostatni piec. Rosnące koszty produkcji, głównie energii, poza zasięgiem konkurencja z Indii, Chin, nadają polskiemu ostatniemu wyrobom szklanym z południa Dolnego Śląska status wyjątkowości. Tu ważna informacja, Manufaktura *Barbara* nadal, do wyczerpania zapasów, prowadzi sprzedaż tych szczególnych, z walorem historycznym i regionalną identyfikacją dzieł. Z daleko posuniętą pewnością należy założyć, że z czasem te prace będą poszukiwane, a ich ceny silnie rosły.



fot. Tadeusz Lejczak / archiwum Manufaktury Szkła Barbara w Polanicy Zdroju



Oryginalnym i dedykowanym wszystkim grupom wiekowym elementem oferty manufaktury są warsztaty kreatywne. Uczestnik otrzymuje szklany pojemnik, profesjonalne farby witrażowe do malowania szkła i pod czujnym okiem animatorów maluje już swój obiekt z wykorzystaniem szablonów lub własnej wyobraźni twórczej. Nieco starsi „uczniowie” mogą także za pomocą profesjonalnych przyrządów uczyć się grawerowania. Te zajęcia cieszą się dużą popularnością i sympatią, szczególnie ze strony milusińskich i ich rodziców. Często w wymienionych warsztatach biorą udział większe, zorganizowane grupy, ale nie jest to warunek. Dzisiaj takie twórcze aktywności, szczególnie dzieci, są wręcz drogie, a każda godzina spędzona bez migotania ekranu smartfona ma wartość niepoliczalną.

Bogatą ofertę Manufaktury Szkła w Polanicy Zdroju uzupełnia firmowy sklep. Asortyment stanowi głównie szkło kolorowe: wazony, owocarki, patery, karafki, kieliszki, figurki, zawieszki, magnesy, biżuteria, a nawet



uchwyty do mebli, korki do butelek, kwiaty. Poszukiwaną, osobną partią produktów, stanowi szkło kryształowe wyczarowywane w Hucie *Julia* z Piechowic. To siostrzana firma też zarządzana przez *Kolglass*. Towary to skrzące się kolorami szklane bogactwo form, idealne na cenny prezent, pamiątkę, kruche, eteryczne piękno. Wybór niełatwy, jednak profesjonalnie cierpliwe doradztwo obsługi sklepu pozwoli sprostać każdemu zamówieniu.

Ambicją zespołu manufaktury jest stały rozwój. Wiewiórki, których nie brak w malowniczej, leśnej otulinie manufaktury donoszą w przerwie między chrupaniem żołędzi o nowym projekcie, którym będzie nim ścieżka edukacyjna poprowadzona wokół hutniczego pieca. Nie można w tym miejscu, nie wspomnieć o panu Jacku Mażarku, energicznym i kreatywnym szefie całej załogi, który po doświadczeniach zawodowych w hutach szkła *Violetta* w Stroniu Śląskim i *Sudety* w Szczytnej, od 2023 roku na szczęście dla *Barbary* sieje w niej zdrowy ferment, sprawiając, że *Barbara* jawi się dzisiaj jak pięk-





na, urocza, młoda dziewczyna, przed którą „całe życie”. Manufaktura w najmniejszym nawet stopniu nie ucierpiała w ostatniej powodzi, co może mieć znaczenie dla odwiedzających. Wielkim jej atutem jest też sama Polanica-Zdrój, przeuroczy kurort o europejskiej sławie. Kolorowego nowego roku! [•]

PS. Zaskakująco częste używanie łaciny w artykule ma obok adekwatności, historyczne uzasadnienie: to Rzymianie rozwinęli masową produkcję szkła, wynaleźli piszczel szklarską.

Materiał powstał w ramach współpracy strategicznej z Manufakturą Szkła Barbara w Polanicy-Zdroju. Autorzy składają specjalną podziękowania dla pana Aleksandra Bugaja, genialnie natchnionego, zachanego w polskim szkłe artystycznym eksperta i właściciela pokaznego zbioru cennych, szklanych okazów. Zdjęcia niepodpisane są autorstwa Aleksandry Roźniewskiej, Aleksandra Bugaja i Kai Sajewicz.

 manufakturabarbara.pl

 facebook.com/profile.php?id=61559866163115

 instagram.com/manufaktura.barbara

Kaja Sajewicz: animatorka kultury związana zawodowo z Manufakturą Szkła Barbara w Polanicy Zdroju i Hutą Julią w Piechowicach. Aleksandra Roźniewska: tłumaczka języka hiszpańskiego i fotografka. Wit Derewecki: historyk.







Młyn z wieżą ciśnień

tekst: Karolina Osińska-Marcińczyk

Wyjatkowe miejsce na mapie zabytków techniki – Młyn Hilberta w Dzierżonowie. To nie tylko obiekt młynarski, ale też górująca nad nim 33-metrowa wieża, którą widzą wszyscy przejeżdżający przez to niewielkie miasteczko w Góry Sowie. Po co młynowi wieża?



Budynek, który dziś znamy jako Młyn Hilberta, nie od zawsze pełnił funkcję przemysłową związaną z produkcją mąki. Początkowo, zanim stał się sercem lokalnego młynarstwa, mieściła się w nim farbiarnia. Dopiero w drugiej połowie XIX wieku jego przeznaczenie zmieniło się w sposób radykalny. W roku 1868 dwaj przedsiębiorczy bracia – Hugon i Herman Hilbertowie – dostrzegli potencjał tego miejsca i podjęli decyzję o przekształceniu obiektu w nowoczesny młyn. W ten sposób zapoczątkowali nowy rozdział w historii budynku oraz w dziejach całej dzierzoniowskiej gospodarki.

Nie była to jednak zupełnie nowa działalność w rodzinie Hilbertów. Bracia przenieśli bowiem tutaj swój młyn z pobliskiej Bielawy. Tam, jeszcze w 1837 roku, ich ojciec – Karol Zygmunt Hilbert – założył pierwszy na Śląsku młyn parowy. Choć jego dzienne możliwości produkcyjne nie były imponujące i wynosiły jedynie około 10-15 ton zboża, to pod względem technologicznym stanowił on przełom w regionie. Był bowiem najbardziej za-



awansowanym i nowoczesnym obiektem w całej okolicy, co szybko zapewniło mu renomę i pozwoliło rodzinie Hilbertów zbudować solidną pozycję na rynku.

Nowa inwestycja w Dzierżoniowie została ulokowana nad rzeką Piławką. Wybór tego miejsca był starannie przemyślany. Sąsiedztwo linii kolejowej otwierało ogromne możliwości transportowe. Dzięki temu zboże mogło być łatwo dostarczane z dalszych terenów, a gotowa mąka – sprawnie rozprowadzana do odbiorców. Lokalizacja sprzyjała też rozwojowi handlu, ponieważ okolica przeżywała wówczas dynamiczny wzrost zapotrzebowania na produkty zbożowe. Rosnąca liczba mieszkańców regionu i zmieniające się warunki życia sprawiały, że potrzeba stałych dostaw mąki stawała się coraz bardziej nagląca.

Burzliwa historia

Dzierżoniowski młyn Hilberta od zarania był obiektem nowoczesnym jak na swoje czasy – działał w oparciu o napęd parowy. Początkowo jego moce przerobowe by-



ły jeszcze stosunkowo skromne: przemiałał około 20 ton zboża dziennie, a całość pracy odbywała się na pięciu pasażach. Dla lokalnej społeczności było to jednak wydarzenie niebagatelne – młyn pozwalał na zaspokojenie coraz większego głodu nowoczesności i wygody.

Prawdziwy przełom technologiczny nastąpił wkrótce dzięki wprowadzeniu do produkcji stalowych walców młynarskich, które wynaleziono w 1875 roku. Ta innowacja całkowicie zmieniła oblicze młynarstwa – dawała większą precyzję, wydajność i jakość przemiału. Stopniowa modernizacja maszyn oraz sukcesywna rozbudowa zaplecza magazynowego sprawiły, że zakład dynamicznie się rozwijał. W niedługim czasie stał się jednym z najważniejszych obiektów gospodarczych w regionie, a jego produkty trafiały nie tylko do Dzierżoniowa, lecz także do okolicznych miast i wsi, zaspokajając rosnące potrzeby mieszkańców.

Okres I wojny światowej przyniósł ogromne wyzwania. Wiele przedsiębiorstw, w tym młyny, objęto zarzą-



dem przymusowym. Fabryki borykały się z trudnościami technicznymi, niedoborami materiałów, spadkiem jakości i problemami finansowymi. Młyn Hilberta także odczuł skutki wojennego chaosu, ale – wbrew przeciwnościom – nie tylko przetrwał, lecz także wyszedł z kryzysu silniejszy. Kluczową rolę odegrała determinacja Hugona Hilberta juniora, wnuka Karola Zygmunta, który dzięki dalekowzrocznym decyzjom prowadził przedsiębiorstwo ku stabilności.

Jednym z największych problemów tamtych lat był brak bezpośredniej boczny kolejowej. Zboże i gotowe wyroby trzeba było transportować z oddalonej o dwa kilometry stacji kolejowej. Początkowo wykorzystywano do tego konie, ale szybko okazało się, że nie są one w stanie sprostać rosnącej skali działalności. Przewozy stawały się coraz bardziej uciążliwe, niewydolne i czasochłonne. Z tego powodu podjęto decyzję o budowie własnej boczny przy młynie, co znacząco usprawniło logistykę i otworzyło drogę do dalszej ekspansji.



Po I wojnie światowej nastał trudny okres hiperinflacji i kryzysu gospodarczego, ale gdy rynek się ustabilizował, zaczęła się prawdziwa walka konkurencyjna między młynami. O sukcesie decydowała nie tylko jakość mąki, lecz także innowacyjność, odwaga inwestycyjna i zdolność przewidywania trendów. Hilbertowie nie wahali się przed nowymi wyzwaniami. Rozbudowali budynek, zainwestowali w nowoczesny park maszynowy i w 1930 roku dokonali spektakularnej modernizacji – przekształcili zakład w młyn o napędzie elektrycznym. Było to rozwiązanie pionierskie, które wyprzedzało swoją epokę. Dawna maszynownia parowa została zaadaptowana do nowych celów: urządzono tam suszarnię zbożową, zainstalowano piec centralnego ogrzewania i uruchomiono warsztaty elektryczne.

Te decyzje okazały się kluczowe, gdy w 1933 roku władze III Rzeszy wprowadziły obowiązek utrzymywania zapasów zboża odpowiadających dwumiesięcznemu przemiałowi. Młyn Hilberta był jednym z nielicznych za-



kładów, które były w pełni gotowe na sprostanie temu wymogowi. Jego wydajność sięgnęła imponującego poziomu 130 ton dziennie. Wkrótce przestrzeń okazała się zbyt mała na taką produkcję – w 1934 roku rozbudowano główny gmach i odświeżono jego fasadę. To właśnie wtedy obiekt zyskał swój charakterystyczny, reprezentacyjny wygląd – harmonijną elewację, która do dziś jest symbolem przemysłowej elegancji lat międzywojennych.

Na czele zakładów stanął wtedy Henryk Warneke, zaufany przyjaciel rodziny Hilbertów, a zarazem ekspert z renomowanej fabryki MIAG w Brunszwiku – jednej z największych w Europie firm produkujących urządzenia młyńskie. To on nadał młynowi nowy rytm organizacyjny, budując w duchu narodowo-socjalistycznej ideologii silny kolektyw. W najlepszym okresie młyn zatrudniał około 150 osób i był jednym z największych zakładów pracy w regionie.

Młyn przeszedł przez II wojnę światową niemal bez strat materialnych. Przetrwał również okres stacjonowa-



nia Armii Czerwonej, która zajmowała go przez sześć lat. W 1951 roku zakład przeszedł pod polski zarząd i został przejęty przez Polskie Zakłady Zbożowe. Lata 1951-1983 to czas ciągłego wzrostu zdolności produkcyjnych, osiągniętych dzięki pomysłowości i myśli technicznej, a nie wielkimi nakładami finansowymi.

W 1982 roku młyn osiągnął rekordową zdolność przemiałową – aż 280 ton pszenicy na dobę. Jednak w połowie lat 90. konieczne stały się zmiany, wynikające z nowych standardów wyciągowych. Produkcja została ograniczona do 180 ton pszenicy i 50 ton żyta dziennie. W takiej formie zakład funkcjonował aż do swojego ostatniego przemiału 27 listopada 2016 roku.

Tego dnia zakończyła się pewna epoka, a Młyn Hilberta rozpoczął nowe życie jako oddział Fundacji Ochrony Dziedzictwa Przemysłowego Śląska. Od tego momentu obiekt przestał być tylko miejscem produkcji – stał się świadkiem historii i unikalnym zabytkiem przemysłowej przeszłości regionu.







A co z wieżą?

Wieża stojąca przy Młynie Hilberta to jeden z najbardziej charakterystycznych elementów całego kompleksu przemysłowego. Nie jest to jednak zwykła konstrukcja architektoniczna, lecz kluczowy fragment nowoczesnego – jak na początek XX wieku – systemu przeciwpożarowego. Mowa o sieci tryskaczowej, czyli pionierskim zabezpieczeniu, które miało chronić zakład przed groźbą pożaru. Warto pamiętać, że młyny – pełne pyłu zbożowego i pracujące w rytmie maszyn – były szczególnie narażone na ryzyko zapłonu. Dlatego Hilbertowie zdecydowali się na rozwiązanie wyprzedzające swoją epokę.

Wieżę zbudowano w latach 1916-1918, w okresie niezwykle trudnym, bo przypadającym na czas I wojny światowej. Mimo niedoborów materiałów i ogólnej destabilizacji, projekt doprowadzono do końca. Na jej szczycie zainstalowano ogromny zbiornik mogący pomieścić aż 30 tysięcy litrów wody. Była to ilość wystar-



czająca, aby w razie zagrożenia ugasić nawet bardzo duży pożar. W ten sposób młyn uzyskał niezwykle skuteczne zabezpieczenie – jedno z pierwszych tego typu w regionie.

Codzienna praca w młynie parowym wiązała się z obecnością otwartego ognia – chociażby w kotłowniach, przy maszynach czy w warsztatach. Pojawiały się więc niewielkie zarzewia ognia, ale pracownicy, którzy doskonale znali specyfikę zakładu, radzili sobie z nimi szybko i skutecznie. Paradoksalnie, mimo tak imponującego systemu bezpieczeństwa, sieć tryskaczowa nigdy nie została wykorzystana w praktyce. To dowód, że zarówno technologia, jak i dyscyplina pracowników działały niezawodnie. Dziś zbiornik znajdujący się na wieży jest pusty – nie pełni już swojej pierwotnej funkcji, lecz pozostaje niemym świadkiem historii przemysłowej przeczności i wyobraźni Hilbertów.

Niestety obecnie sama wieża nie jest dostępna dla zwiedzających. Jej wnętrze ze względu na kwestie bez-



pieczeństwa pozostaje zamknięta, a oglądać ją można tylko z zewnątrz. Mimo to pozostaje jednym z najbardziej rozpoznawalnych elementów krajobrazu Młyna Hilberta i przyciąga uwagę wszystkich odwiedzających kompleks.

Co można zwiedzać?

Choć wieża pozostaje zamknięta, całość Młyna Hilberta w Dzierżoniowie od kilku lat tętni nowym życiem jako wyjątkowe muzeum techniki i dziedzictwa przemysłowego. Obiekt został udostępniony turystom i można go zwiedzać od piątku do niedzieli. Wejście do środka to jak podróż w czasie – zwiedzający mają okazję zobaczyć, jak wyglądała codzienna praca w młynie, jak funkcjonowały maszyny, w jaki sposób transportowano zboże i mąkę, a także jakie obowiązki mieli robotnicy w poszczególnych działach.

To jednak nie tylko opowieść o technologii i produkcji. To również historia ludzi – ich codziennych zmagania, relacji między pracownikami, wartości, jakie były dla



nich ważne, oraz problemów, z jakimi musieli się mierzyć. Przewodnicy oprowadzający po młynie często podkreślają, że zakład był nie tylko miejscem pracy, ale wręcz centrum życia lokalnej społeczności. Młyn dawał zatrudnienie, stabilność i poczucie przynależności.

Dla dzieci, młodzieży i dorosłych przygotowywane są regularnie specjalne warsztaty edukacyjne. Mają one różnorodną tematykę – od zajęć o historii techniki, przez warsztaty z zakresu dziedzictwa przemysłowego, aż po kreatywne działania artystyczne inspirowane architekturą i historią młyna. Dzięki temu obiekt staje się przestrzenią, w której nauka łączy się z zabawą i twórczym odkrywaniem przeszłości.

Młyn Hilberta to także idealne miejsce na rodzinny weekend – można tu spędzić czas w wyjątkowej atmosferze, podziwiając zabytkową architekturę i industrialny klimat. Coraz częściej wybierany jest również jako scenariusz sesji fotograficznych – zarówno rodzinnych, jak i artystycznych. Surowe mury, drewniane konstrukcje i nie-



zwykle wnętrza stwarzają niepowtarzalne tło, które pozwala uwiecznić wyjątkowe chwile.

W ten sposób dawne miejsce pracy setek ludzi stało się przestrzenią spotkań, refleksji i edukacji. Młyn Hilberta w Dzierżonowie łączy w sobie funkcję muzeum, centrum kultury i atrakcji turystycznej. To dowód na to, że przemysłowe dziedzictwo, choć bywa zapomniane, może zostać ocalone i opowiedziane na nowo – w sposób interesujący dla każdego pokolenia. [•]

Materiał powstał w ramach współpracy strategicznej z Młynem Hilberta w Dzierżonowie. Zdjęcia z archiwum Młyna Hilberta.



mlynhilberta.pl



facebook.com/mlynhilberta



instagram.com/mlynhilberta

Karolina Osińska-Marcińczyk: dziennikarka, bloggerka, autorka kryminałów i książek dla dzieci pochodząca ze Świdnicy, od roku kieruje Młynem Hilberta w Dzierżonowie.



Kultowe meble

tekst: Rafał Wietrzyński

Przemysł drzewny na Dolnym Śląsku nie ucierpiał mocno podczas II wojny światowej. Fabryki były zlokalizowane głównie w podgórskich rejonach, gdzie działania wojenne dotarły tylko w znikomym stopniu. Działające w Świebodzicach stolarnie i tartaki ocalały niemal w stu procentach. Świadczą o tym dokumenty sporządzone przez członków przemysłowej grupy operacyjnej, którzy przybyli tu po zakończeniu wojny, aby zinwentaryzować zachowaną infrastrukturę przemysłową.



Największym producentem mebli, działającym na terenie Świebodzic już od czasów przedwojennych było przedsiębiorstwo o nazwie „Möbelfabrik Gebr. Steiner”, którego zabudowania znajdowały się przy dzisiejszym



Widok z lotu ptaka na dawną stolarnię braci Steiner, w której po wojnie usadowiła się pierwsza polska fabryka mebli w Świebodzicach, czyli późniejsza DFM.



placu Dworcowym. Z zachowanej dokumentacji, sporządzonej z końcem czerwca 1945 roku, wynika, że zakład ten w dalszym ciągu dysponował pokaźnym składem tartnicy i znaczącym parkiem maszynowym składającym się z kilkudziesięciu obrabiarek i innych urządzeń do obróbki drewna, a w jego ewidencji pracowniczej widniało blisko 50 nazwisk osób narodowości niemieckiej.

Zapewne tak wyposażone przedsiębiorstwo zastał Witold Bytoński, członek grupy operacyjnej, który upoważniony został 27 lipca 1945 roku do objęcia tymczasowego zarządu nad majątkiem fabryki. Natomiast z początku sierpnia tegoż roku pochodzi informacja, że stolarnia braci Steiner została przejęta przez polską administrację od stacjonującej tutaj Armii Czerwonej. Ciekawe jest również pismo datowane 17 sierpnia 1945 roku. Wynika z niego, że zakład zatrudniał już wtedy 60 Niemców oraz miał powołaną straż przemysłową, która miała pilnować mienia i ochraniać miejscową fabrykę przed szabrownikami.



Na temat pierwszych miesięcy funkcjonowania firmy, która zaraz po wojnie przybrała nazwę Państwowej Fabryki Mebli Nr 10 (a w późniejszym czasie Dolnośląskiej Fabryki Mebli - w skrócie DFM), nie zachowało się zbyt wiele informacji. Jej pierwszym dyrektorem został



„Trybuna Robotnicza” nr 135 z 1947 r.

Bogdan Grzesiński, a wśród polskich pracowników wyróżniali się: E. Bogucki, E. Jurek, K. Baczмага, B. Wrzałik, Cz. Niemczyk oraz M. Kuchyba.

Pod koniec 1946 roku przedsiębiorstwo uznawane było za jeden z większych zakładów tego rodzaju na Dolnym Śląsku. Pracowało w nim już ponad 200 osób. Spe-



cialnością fabryki były też gabinety rzeźbione, a jeden z nich - jak podają niektóre źródła - miał zostać wyprodukowany dla samego Bolesława Bieruta.

Istotnym wydarzeniem w historii fabryki był podpisany w dniu 31 maja 1946 roku w pobliskiej Świdnicy pierwszy kontrakt eksportowy na wyroby przemysłowe w powojennej historii naszego kraju. Umowa zawarta została pomiędzy Polską Ludową a Anglią i dotyczyła dostawy mebli. Do kontraktu tego przystąpiły zakłady ze Świdnicy i Świebodzic. Wartość zobowiązania wyniosła około 600 tysięcy funtów szterlingów, co w przeliczeniu dawało ok. 350 milionów złotych. Zobowiązaliśmy się wówczas wyprodukować i dostarczyć na Wyspy Brytyjskie 12 tysięcy kredensów pokojowych i 2 tysiące komód.

Umowa z Anglikami musiała przebiegać wzorowo, skoro niedługo potem przystąpiły do niej kolejne polskie przedsiębiorstwa (m.in. ze Szczecina, Bydgoszczy, Warszawy, Wrocławia, Olsztyna oraz Szklarskiej Poręby). Prasa podawała również, że w wyścigu o pierwszy wielki



powojenny projekt eksportowy pokonaliśmy takie kraje jak: Czechosłowacja, Kanada, Szwecja, Finlandia, Belgia, Holandia i Jugosławia.

Eksport mebli do Anglii

Fabryka Mebli w Świebodzicach, otrzymała ostatnio poważne zamówienie na meble eksportowe do Anglii. Fabryka wykona 400 kompletnych pokoi jadalnych.

Fabryka w Świebodzicach należy do najnowocześniejszych urządzonych w Polsce. Posiada własny tartak i suszarnię drzewa. Fabryka wykonuje, na potrzeby rynku wewnętrznego, gabiny i sypialnie, a ponadto dla przemysłu węglowego domki fińskie dla górników.

Informacja o świebodzickiej fabryce zamieszczona w 1948 r.
w gazecie „Repatriant”.



Dostawa 12 tysięcy kredensów stołowych do Anglii nie była jedynym osiągnięciem świebodzińskiej firmy w pierwszych powojennych latach. Kolejnym znaczącym zamówieniem było pozyskanie przez nią państwowego zlecenia na produkcję tzw. „domków fińskich”.

Domki fińskie stały się popularne w Polsce zaraz po zakończeniu II wojny światowej. Władze państwowe, chcąc szybko złagodzić duży głód mieszkaniowy, postanowiły rozpocząć produkcję prostych domów z gotowych elementów w wybranych zakładach państwowych. Jednym z tych zakładów była Państwowa Fabryka Mebli ze Świebodzic.

Pomysł, aby budować tanie domy z prefabrykatów, narodził się w 1930 roku w Szwecji, która w tym czasie borykała się z dużym niedoborem mieszkaniowym. Kilka lat później projekt ten podchwycili Finowie i postanowili go jeszcze bardziej udoskonalić. W niedługim czasie Finlandia stała się potentatem w produkcji tego rodzaju budynków, a wyjątkowy popyt na fińskie domki nastąpił



zaraz po zakończeniu II wojny światowej. Wówczas to cała Europa borykała się z poważnym problemem mieszkaniowym wywołanym wojną, która pozbawiła miliony ludzi dachu nad głową.

Produkcję domków fińskich w Świebodzicach rozpoczęto pod koniec 1947 roku. Takim samym kontraktem mogły poszczycić się na Ziemiach Odzyskanych jeszcze tylko dwa inne zakłady. Nie udało mi się natomiast ustalić, ile dokładnie domów wyprodukowała fabryka i gdzie ostatecznie je posadowiono.

W 1947 roku doszło też do pierwszej znaczącej

Jako pierwszy w przemyśle meblarskim Bogdan Mioduszewski wykonał zadania Planu 6-letniego

SWIDNICA (em) Czołowym pracobnikiem w Dolnośląskiej Fabryce Mebli w Świebodzicach jest 44-letni stolarz Bogdan Mioduszewski, który jako pierwszy wykonał w przemyśle meblarskim zadania Planu 6-letniego.

O wykonaniu planu zawiadomiono go 20 października br. Mioduszewski pracuje w dziale montażu mebli. Kiedy dowiedział się od przedstawiciela Rady Zakładowej i Komitetu Zakładowego o wykonaniu „Sześciolatki“, powiedział wzruszony, że postara się do końca 1955 roku wykonać jeszcze 5 norm rocznych.

„Dziennik Zachodni” nr 259 z 1952 r.



powojennej modernizacji zakładu. Powstały tu nowe działy produkcyjne: tapicernia i prefabrykacja luster w ramach specjalizacji produkcji. Wprowadzono też nowe metody technologiczne, usprawniono mechanizację oraz wprowadzono nowe surowce (tworzywa sztuczne).

W miarę upływu lat przedsiębiorstwo rozwijało się. Powstała przy nim nowoczesna tapicernia (1957), wzorownia (1958) oraz wykańczalnia (1963). Do dyspozycji miało również własną szlifiernię szkła oraz wytwórnię luster. W 1965 roku podjęto decyzję o znaczącej rozbudowie zakładu, co zaowocowało w późniejszym czasie powstaniem nowej hali przemysłowej (1972). Dzięki temu świebodzińskie meble zdobywały coraz większe uznanie w kraju i zagranicą. Ponad połowa produkcji szła na eksport, m.in. do ZSRR, Węgier, Danii, Niemiec, Szwecji czy Anglii. Cały czas stawiano też na innowacje. Dzięki temu wprowadzono do produkcji nowe materiały, to jest wyściółkę tapicerską, wysokiej jakości tkaniny obiciowe (w różnych kolorach), gumę mikroporowatą, tworzywa



sztuczne, a także zaczęto stosować na większą skalę lakiery barwne.

Dzięki zachowanym katalogom firmowym wydany w latach 60. ubiegłego wieku, możemy dowiedzieć się, że Dolnośląska Fabryka Mebli posiadała w swojej ofercie: meble mieszkaniowe, meble skrzyniowe, szafy, fotele, stoliki, toaletki-komody, taborety, foteliki oraz tapczany. Wśród wszystkich wymienionych tutaj produktów, bez wątpienia największą popularnością

cieszył się fotel "366", który zaprojektowany został na początku lat 60-tych przez Józefa Chierowskiego.

Ze Świebodzic w świat...

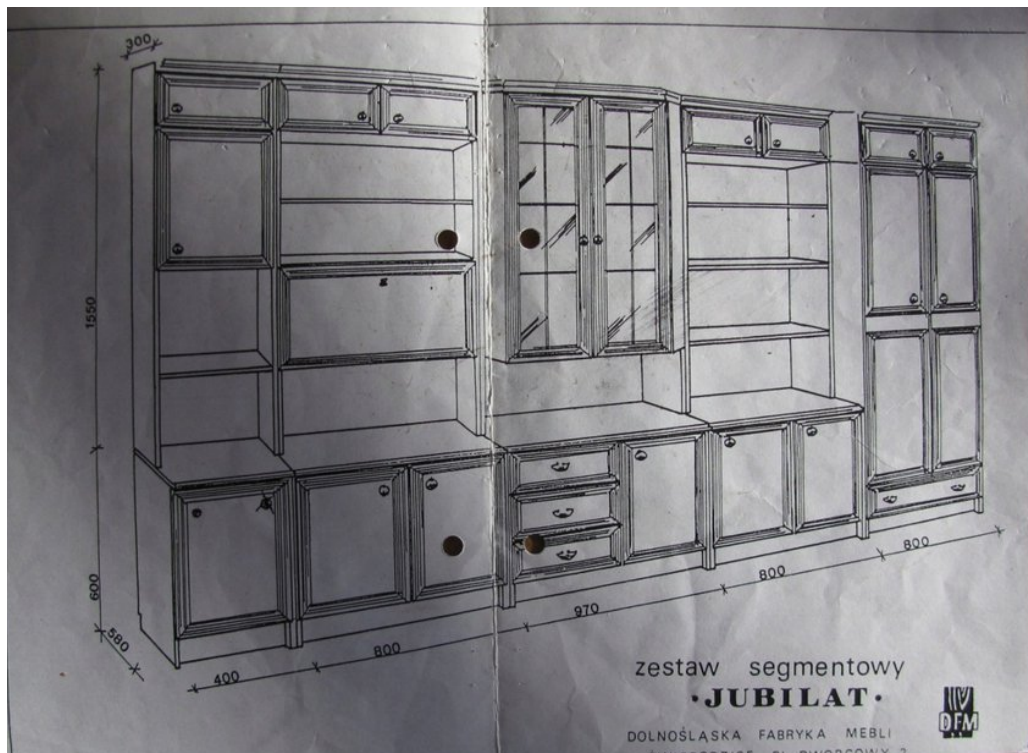
Świebodzicka Fabryka Mebli sporo eksportuje. Na wystawę do Moskwy wysłano partię wyściełanych fotelików oraz kompletów kombinowanych. Do Danii, NRF i Szwecji powędrowały najnowsze prototypy wygodnych foteli. Dla Węgier przygotowuje się komplety mebli.

Świebodzicka Fabryka staje się coraz głośniejsza w świecie. (aga)

„Gazeta Robotnicza” z 1959 r.



W całej historii istnienia firmy sprzedano go w ilości ponad 500 tysięcy sztuk. Kultowym fotelem ze Świebodzic bardzo chętnie wyposażano wtenczas prywatne domy, placówki dyplomatyczne, biura oraz miejsca użyteczności publicznej.



Zestaw popularnych mebli „Jubilat” produkowanych niegdyś w Świebodzicach.



Jego następcą był fotel "300-190" - zwany popularnie "liskiem" (nazwa przyjęta od nazwiska projektanta Henryka Lisa) - który również podbił serca konsumentów. Do końca lat 70. XX wieku wyprodukowano go w ilości kilkuset tysięcy egzemplarzy. Poza słynnymi fotelami w świebodzińskiej DFM wytwarzano także znane w całym kraju zestawy mebli kombinowanych. Najpopularniejsze z nich to: „Odra” oraz „Jubilat”. Renomą i wzięciem cieszył się też taboret tapicerowany typ "270-25". Warto tu podkreślić, że wiele z tych cenionych produktów trafiało do szwedzkiego giganta meblarskiego - IKEA.

Dolnośląska Fabryka Mebli była pierwszym zakładem w powojennych dziejach Świebodzic, który zaczął kształcić młodzież na potrzeby swoich przyszłych kadr. Już w 1947 roku powstało przy ul. Świdnickiej 15 (obecnie SP nr 3) Gimnazjum Państwowe Fabryki Mebli, którego pierwszym dyrektorem został Władysław Wiatrak. W 1958 roku szkołę tą przeniesiono do budynków przy



ul Duboisa (obecna ul. Piłsudskiego 31). W 1952 roku placówkę przemianowano na Zasadniczą Szkołę Zawodową Przemysłu Drzewnego, przy której w 1966 roku wybudowano warsztaty szkolne. Rok później – w 1967 roku

Stolarze w spódnicach



(wo) 320 dziewcząt i chłopców uczy się zawodu stolarza w Zasadniczej Szkole Zawodowej w Swiebodzicach. Warsztaty szkolne są prawdziwą, małą fabryką. Produkuje się tutaj szafy kancelaryjne, biurka, stoliki szkolne, foteliki i inne meble. Stolarsnia i tapicernia dają roczną produkcję wartości 4,5 mln zł. Połowa produkowanych mebli przeznaczona jest na wyposażenie nowych szkół.

„Gazeta Robotnicza” z 1968 r.



- przy ZSZ powołano do życia Technikum Przemysłu Meblarskiego. Miejskowa placówka edukacyjna zyskała z czasem bardzo dobrą reputację. Wielu jej absolwentów zasilalo nie tylko szeregi pracowników DFM, ale również wielu innych przedsiębiorstw o podobnym profilu produkcji. Prasa z 1952 roku informowała nawet, że młodzi adepci drzewnego rzemiosła ze Świebodzic trafili nawet do pracy w szczecińskiej fabryce mebli.

Z inicjatywy pracowników DFM powstała w lutym 1959 roku Międzyzakładowa Spółdzielnia Mieszkaniowa „Wiosna”. Dzięki temu jeszcze w tym samym roku doszło do budowy w Świebodzicach bardzo potrzebnych mieszkań lokatorskich. W późniejszym czasie, również z zamiarzenia spółdzielni, rozpoczęto budowę pierwszego dużego osiedla pracowniczego – "Osiedla Przodowników Pracy", które obecnie nosi nazwę "Osiedla Sudeckiego". Jako ciekawostkę można tu też podać fakt, że w 1946 roku z inicjatywy jednego z pracowników zakładu (pana Kopciucha) powstał teatr amatorski przy fabryce. Pierw-



szą jego sztuką było przedstawienie „Zemsta Cygana”, które ze względu na dużą popularność wśród mieszkańców dawnych Świebodzic było wystawiane wielokrotnie w miejscowym Domu Ludowym.

MANUFACTURES for home market and export

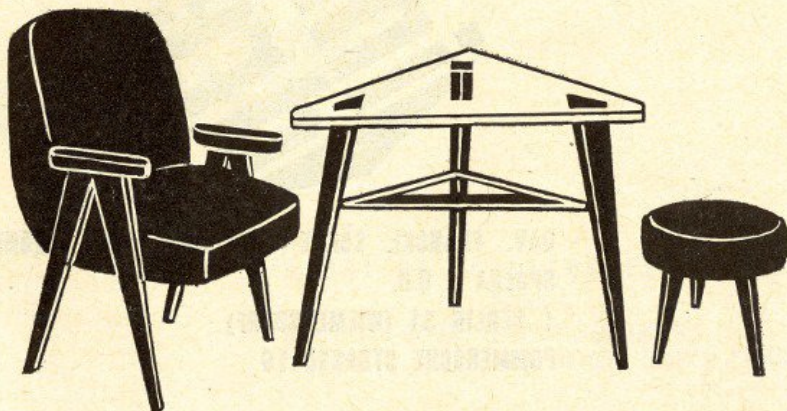
MULTI-PURPOSE SUITES
UPHOLSTERED ARMCHAIRS and STOOLS.

In manufacturing of this furniture of high quality standard the most up-to-date technological methods are employed and such modern upholstery materials as spring units, rubberized hair and foam rubber in adjusted sizes are used.

Due to irreproachable workmanship and finishing our furniture provides comfort and ensures long lasting usefulness.

WCT/321/66

DOLNOŚLĄSKA FABRYKA MEBLI
Low Silesian Furniture Factory
Świebodzice, pl. Dworcowy 2
powiat Świdnica, tel. 455



Reklama wiebodzickich mebli z zagranicznej prasy (1966).



Ale wśród tych pomyślnych wydarzeń, nie brakowało także tragicznych epizodów. Jednym z nich był wielki pożar, który wybuchł w nocy z 13 na 14 października 1959 roku. Strawił on dwa wydziały (lakiernię i natryskownię) mieszczące się na I i II piętrze fabryki. Straty oszacowano wtenczas na ponad 2 miliony złotych.

W 1970 roku DFM została przyłączona do Świdnickiego Ośrodka Przemysłu Meblarskiego i nosiła od tej pory nazwę: Zakład nr 6 w Świebodzicach. W 1991 roku fabryka ponownie usamodzielniała się, jednak nie udało się jej powrócić do lat dawnej świetności. Źle zarządzane i targane licznymi protestami przedsiębiorstwo zostało ostatecznie postawione w stan likwidacji w 1997 roku. [•]

Materiały archiwalne ze zbiorów autora.

Rafał Wietrzyński: z wykształcenia jest ekonomistą, a z zamiłowania historykiem. Napisał kilka książek oraz kilkudziesiąt artykułów o historii regionalnej, dotyczących głównie prze szłości rodzinnych Świebodzic i najbliższych okolic. Obecnie za granicą.



facebook.com/profile.php?id=100063900581892





Tu stacja Żarów

tekst: Zbigniew Malicki

Piękny kościół, na którym zatrzymują wzrok wszyscy pasażerowie pociągu z Wrocławia do Jaworzyny Śląskiej – pisał w wydany w 1939 roku *Przewodniku po kościołach w Żarowie i Łażanach* Hermann Hoffmann. Pociąg przejeżdża w pobliżu kościoła w ciągu kilku sekund. Po kilku następnych jest na stacji Żarów, którą również po chwili opuszcza. My zatrzymajmy się przy nich nieco dłużej, bo oba zabytki zachwycają, zarówno swoim wyglądem, ale i historią.



Kościół

W czwartek, 29 września 1910 roku, pod przewodnictwem proboszcza katedry wrocławskiej, księdza Arthura Königa, miało miejsce uroczyste poświęcenie kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa





w Żarowie. Budowę rozpoczęto 16 miesięcy wcześniej, w maju 1909 roku.

Początkowo kościół miał stanąć obok ówczesnej szkoły katolickiej (obecnie budynek przy ulicy Armii Krajowej 15), jednak policja budowlana nie wyraziła na to zgody po zdarzeniu opisywanym m. in. w *Waldenburger Wochenblatt*: „Żarów. Po zapadnięciu się w następstwie robót górniczych terenu obok placu budowy kościoła stało się wątpliwe, czy teren ten jest bezpieczny. Komitet budowy poczynił już starania, by mimo tej przeszkody jeszcze wiosną 1908 roku rozpocząć budowę kościoła, nawet w innym miejscu.”

Budowę udało się rozpocząć wiosną, ale rok później, niż życzył sobie komitet i rzeczywiście w innym miejscu, na placu udostępnionym przez firmę C. Kulmiza. W związku z tym trzeba było przetransportować zgromadzone wcześniej materiały budowlane.

Do 1907 roku żarowscy katolicy uczęszczali do kościoła parafialnego pw. świętej Barbary w Pastuchowie



lub do kościoła filialnego pw. Bożego Ciała w Łażanach. Msze święte zaczęto wprawdzie odprawiać w Żarowie w 1894 r., ale tylko we wtorki, w ciasnej kaplicy wybudowanej rok wcześniej szkoły katolickiej. Od 1907 roku, również w przyszkolnej kaplicy, odprawiano już nabożeństwa w niedziele i święta.

Kościół jest dziełem architektów wrocławskich, Franza Overkotta i Ottona Föhre, jego budowa kosztowała 85 tys. marek. Ponad jedną trzecią tej kwoty, 30 tys. marek, przekazał anonimowy darczyńca.

To typowa budowla neogotycka o układzie halowym z dostawioną od strony północno-zachodniej 44-metrową wieżą. Kościół zaprojektowano na 400 miejsc siedzących i 700 stojących. Ołtarz główny powstał ze względu na brak pieniędzy dopiero 1921 roku, statuetkę z sercem Jezusa wykonał August Wittig, rzeźbiarz z Nowej Rudy, który jest także twórcą ambony. Do tego czasu główną ozdobę ołtarza stanowił osiemnastowieczny obraz nieznanego autora, przedstawiający świętą Barbarę. W dniu



poświęcenia kościoła obraz został uroczyście przeniesiony przez wiernych z kaplicy przy szkole katolickiej, do której wcześniej przekazał go proboszcz Wilhelm Bogedain z Pastuchowa. Jeszcze kilka lat temu można było go zobaczyć nad ołtarzem Matki Bożej, obecnie został zabezpieczony do renowacji.





Ołtarz główny autorstwa Augusta Wittiga, rzeźbiarza z Nowej Rudy.



Oba boczne ołtarze: Matki Bożej (pojawił się w kościele jako pierwszy już w 1910 roku) i św. Józefa (wykonany we wrześniu 1911 roku) są dziełem wieloletniego nauczyciela i dyrektora Szkoły Rzemiosł Artystycznych w Cieplicach Śląskich-Zdrój (obecnie Jelenia Góra), Cirillo dell'Antonio, artysty pochodzącego z południowego Tyrolu.

Organy wykonał w 1912 roku Paul Berschdorf z Nysy. Powstała w tym samym roku pieta, znajdująca się przy wejściu do kościoła od strony torów, podobnie jak płaskorzeźba na chórze, przedstawiająca św. Cecylię przy organach, jest dziełem Brunona Tschötschela, artysty pochodzącego ze Świebodzic, nazywanego śląskim Witem Stwoszem XX wieku. Wykonana z nieskazitelного drobnoziarnistego piaskowca pieta jest wierną kopią znanego dzieła Wilhelma Achtermanna z katedry św. Pawła w Münster w Westfalii, zniszczonego pod koniec II wojny światowej. Natomiast przy wejściu do kościoła od strony ulicy A. Mickiewicza znajduje się kamienny



Ołtarz św. Józefa, dzieło Cirillo dell'Antonio, rzeźbiarza i pedagoga działającego w Cieplicach Śląskich, obecnie Jelenia Góra.



krzyż misyjny z 1918 roku. Twórcą rzeźby jest tworzący we Wrocławiu Johannes Baumeister.

W 1925 roku pojawił się w kościele problem (trudno dzisiaj określić, jaka była jego skala) z zapadaniem się części fundamentów, który tłumaczono faktem, że do ich wykonania używano gruzu z Dolnośląskich Zakładów Chemicznych "Silesia", skażonego środkami chemicznymi. Problem szybko rozwiązano, a „przy okazji” uruchomiono w kościele ogrzewanie. „Cóż za dobrodziejstwo dla naszych starszych chorowitych braci i sióstr, dla naszych biednych niedoubieranych dzieci”, pisał w listopadzie 1925 roku Saaraueer Anzeiger.

Budowniczym kościoła i pierwszym proboszczem utworzonej po 10 latach, 1 kwietnia 1920 r. parafii był ksiądz Hermann Klimke (1879-1929), człowiek niezwykle szanowany i lubiany przez całą, nie tylko katolicką, społeczność Żarowa. W 1907 roku po czteroletnim pobycie w parafii św. Barbary w Pastuchowie, młody wikary został wysłany do Żarowa z zadaniem sprawowania po-



sługi duszpasterskiej i budowy w Żarowie kościoła katolickiego. Trzy lata później, przy obecnej ulicy A.Mickiewicza, stanął nowy kościół. W marcu 1929 roku ksiądz proboszcz zrezygnował z posługi duszpasterskiej ze względu na stan zdrowia i wyjechał do mieszkającej we Wrocławiu siostry, która przez wiele lat pełniła na plebanii w Żarowie rolę gospodyni. Zmarł trzy miesiące później, 18 czerwca 1929 roku. Zgodnie ze swoją wolą ksiądz Klimke został pochowany na cmentarzu w Żarowie. Jego grób znajduje się przy wejściu głównym.

Nowym proboszczem został ksiądz Bernhard Sauer (1885-1961), który przebywał w Żarowie do jesieni 1946 roku. Po wojnie pełnił posługę duszpasterską w Wechselburgu oraz w Lipsku. Tam też został pochowany na Cmentarzu Południowym 17 stycznia 1961 roku. Pierwszy polski kapłan, ksiądz Alojzy Górecki, przybył do żarowskiej parafii 25 października 1945 roku i jeszcze przez rok przebywał na plebanii wraz z niemieckim poprzednikiem.



Stacja kolejowa

W kwietniu 1842 roku Wrocławsko-Świdnicko-Świebodzicka Spółka Kolejowa rozpoczęła budowę linii kolejowej Wrocław Świebodzki-Świebodzice. Półtora roku później, 28 października 1843 roku, wyruszył do Świebodzic pierwszy pociąg. Akcjonariusze spółki kolejowej oraz przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych zaproszeni do udziału w inauguracyjnym przejeździe zapłacili wcześniej po 5 talarów za bilet i „śniadanie łącznie z winem”. Pasażerowie widzieli po drodze niewielkie miejscowości, których ludność, z małymi wyjątkami, utrzymywała się z rolnictwa. Taką wsią był liczący 170 mieszkańców Żarów, który składał się z folwarku należącego do hrabiego Hermanna Nicolausa von Burghausa z Łazan i kilkunastu domów.

Pierwsze pociągi nie zatrzymywały się w Żarowie, stacja powstała dopiero po 10 latach, ale to właśnie utworzenie linii kolejowej spowodowało imponujący rozwój miejscowości w II połowie XIX wieku.



Jednym z budowniczych był Carl Friedrich Kulmiz, jeszcze wczoraj porucznik artylerii, który, oprócz niezbędnego przy budowie linii kolejowej piasku i żwiru, odkrył w najbliższych okolicach Żarowa pokłady kaolinu i węgla brunatnego. Efektem tego odkrycia były zbudowane przez Kulmiza zakłady: Huta Szkła „Ida”, Huta Żelaza „Maria”, przekształcona wkrótce w Fabrykę Maszyn,





Fabryka Cegieł Szamotowych i Zakłady Chemiczne „Silesia”. Spowodowało to imponujący rozwój Żarowa w II połowie XIX wieku. W latach 1850-1910 liczba ludności wzrosła dwudziestokrotnie.

W niedzielę, 30 października 1853 roku w Schlesische Zeitung ukazał się następujący komunikat: „Od 1 listopada wszystkie przewidziane w rozkładzie jazdy pociągi parowe będą zatrzymywać się we wsi Żarów, podobnie jak to ma miejsce w Smolcu i Mietkowie. Tym sposobem liczna ludność zamieszkująca Żarów i okolice będzie miała możliwość odwiedzania Wrocławia, Świdnicy, Świebodzic i Wałbrzycha. Umożliwi również transport towarów z fabryk położonych w pobliżu wsi. Bilety do leżących tuż obok stacji w Imbramowicach i Jaworzynie Śląskiej są do nabycia chwilowo w ustawionej w miejscu postoju budce wartowniczej. W przypadku podróży poza te stacje niezbędne bilety należy nabyć tamże. Wrocław, 28 października 1853 roku Dyrekcja Kolei Wrocławsko-Świdnicko-Świebodzickiej.”



Wkrótce potem, na przełomie 1853/54 roku, powstał pierwszy budynek stacji kolejowej. Można go zobaczyć na litografii z 1861 roku, wchodzącej w skład zestawu przedstawiającego śląskie stacje kolejowe, autorstwa A. Schurichta z Görlitz, E. H. Herrmanna z Drezna i A. Göhde z Löbau. Przedstawia ona dwukondygnacyjny, murowany budynek z dwuspadowym dachem, w którym była nastawnia, kasa biletowa i poczekalnia dla pasażerów, także mały oddział Królewskiej Ekspedycji Pocztovej funkcjonujący od 15 maja 1854 roku. Przed budynkiem znajduje się niezadaszony peron oraz dwa torowiska. Drugi tor prowadził na bocznice kolejową.

Stacja pojawia się także w wydanym w 1869 roku. Przewodniku po Karkonoszach i Hrabstwie Kłodzkim w rozdziale poświęconym miejscowościom znajdującym się na trasie kolejowej z Wrocławia w kierunku południowym: „Stacja Żarów, po prawej stronie liczne budynki i kominy rozmaitych zakładów należących do tajnego radcy handlowego Kulmiza (Zakład Budowy



Maszyn, Huta Szkła, chemikalia, głównie kwas siarkowy, sól glauberska, cegły etc.). Niektóre z tych produktów wi-
dać już na stacji. Sama fabryka leży jednak już na grun-
tach łazańskich, a początek tutejszemu przemysłowi da-
ły miejscowe złoża węgla brunatnego.”

Faktycznie, fabryki Carla Kulmiza, a także imponu-
jący zamek i park, w którym można zobaczyć wiele inte-





resujących drzew, takich jak cyprysniki błotne, tulipano-wiec amerykański, czy platan klonolistny, powstały na terenie należącym do gminy Łazany, nazwanym przez właściciela Ida- und Marienhütte, a w skład Żarowa weszły dopiero w 1937 roku.

Warto w tym miejscu dodać, że w latach 50. XIX wieku Kulmiz założył sieć kilkudziesięciu składów handlowych przy stacjach kolejowych, od Żarowa, Kątów Wrocławskich i Świdnicy począwszy, na Jeleniej Górze, Zgorzelcu, Wrocławiu, Gdańsku, Szczecinie i Berlinie kończąc. W 30 oddziałach zatrudnionych było około 500 urzędników i robotników, a sprzedawano, oprócz towarów z własnych fabryk, również węgiel kamienny z kopalń wałbrzyskich, materiały budowlane i drewno.

W latach 1899-1900 stacja została rozbudowana. Powstał drugi budynek, połączony z pierwszym, i peron z przejściem podziemnym. Inwestycja kosztowała 29 tysięcy marek. Podczas jej trwania, w sierpniu 1899 roku doszło do zawalenia się części budowanego dworca, cięż-



ko rannych zostało 8 robotników. W tym okresie powstał również drugi tor główny. Było też w Żarowie 13 torów bocznych.

Duży ruch panował w towarowej części stacji. Swoje produkty wysyłały koleją „Szamotownia” i „Silesia”, do Zakładów Młynarskich znajdujących się na wysokości kościoła, ale po drugiej stronie torów, dostarczano codziennie kilkadziesiąt ton zboża, a podczas II wojny





światowej taką samą ilość ziemniaków do leżącej po sąsiedzku firmy „Okruna”. Podczas żniw i wykopków szosę z Mrowin do Żarowa przemierzały dziesiątki pojazdów wiozących ziemniaki, buraki cukrowe i zboże z majątku Kulmizów na stację.

O istnieniu bocznicy kolejowej napisano już w sprawozdaniu Zakładów Chemicznych „Silesia” za rok 1872. Tory prowadziły przez centrum Żarowa, a pociągi towarowe przejeżdżające przez sam środek miejscowości od początku były utrapieniem dla pieszych, a później także dla kierowców oraz atrakcją dla dzieci. Dalej tory prowadziły wzdłuż dzisiejszej ulicy Z. Kasińskiego do „Silesii”, a kończyły się kilkadziesiąt metrów od zamku, po ponownym przecięciu głównej ulicy (jeszcze wiele lat po wojnie były w tym miejscu zamykane rogatki).

Na przełomie XIX i XX wieku Żarów mógł stać się stacją węzłową, jednak nie udało się zrealizować planowanych połączeń kolei wąskotorowej z Pankowem (1890), Strzelcami Świdnickimi przez Kalno (1898)



i Bogdanowem (1913). Podobnie jak połączenia kolei normalnotorowej Wrocław - Żarów - Strzegom - Bolków - Marciszów - Jelenia Góra (1891). W tym ostatnim chodziło o bezpośrednie połączenie Strzegomia z Wrocławiem i Jelenią Górą, a także skrócenie całej trasy o około 10 km.

W sierpniu 1925 roku otwarto na stacji małą restaurację dworcową. Kilka miesięcy wcześniej w Saarauer Anzeiger ukazał się artykuł, w którym czytamy: „O takim dworcu, jak w Imbramowicach możemy tylko pomarzyć. Wprawdzie bez oświetlenia naftowego byśmy się obesзли, ale jest za to zadbana poczekalnia, w której można zjechać na pociąg, zamawiając coś do picia u ładnej, schludnej dziewczyny. Dużo wody jeszcze w Strzegomce upłynie, zanim taka restauracja powstanie u nas.”

Wkrótce potem lokal na stacji uruchomił Max Brodtke, właściciel pobliskiego hotelu, który wydzierżawił kilka pomieszczeń i zorganizował salę pierwszej i drugiej kategorii oraz „długi stół w poczekalni dworca



na wypadek dużego natłoku pasażerów”. Restaurację prowadził syn Brodtkego, Max jr.

Okazuje się jednak, że restauracja dworcowa funkcjonowała w Żarowie dużo wcześniej. W 1891 roku w *Waldenburger Wochenblatt* napisano: „Restaurację dworcową zamknięto również w Żarowie. Spotkało się to z dużym żalem ze strony podróżnych. Ruch na tutejszej stacji jest bardzo ożywiony, w okresie 1890/1891 sprzedano 31720 biletów, należałoby więc oczekiwać, że zarząd kolei da posłuch pasażerom i ponownie pozwoli otworzyć restaurację.”

W latach 1926-1928 odcinek pomiędzy Jaworzyną Śląską i Wrocławiem został zelektryfikowany.

Po zakończeniu II wojny światowej przez stację w Żarowie przejeżdżały dziesiątki pociągów załadowanych produktami wiezionymi do ZSRR: maszynami, węglem, bydłem. Pociągi z węglem były regularnie plądrowane nocą przez niemieckich kolejarzy, którzy często prowokowali uszkodzenia torów. Podczas postoju wyrzu-



cali z wagonów kawałki węgla skwapliwie zbierane przez dzieci. Czasami zatrzymywały się pociągi z bydłem. W całej okolicy słychać było wtedy przerażający ryk krów. Rosjanie otwierali kilka wagonów i kazali doić krowy głodnym Niemcom.

Swego rodzaju ciekawostką jest fakt, że jeszcze przez półtora roku po objęciu obszaru Dolnego Śląska przez polską administrację na kolei funkcjonowała nazwa Żary (znane jest zdjęcie kolejarzy stojących przed charakterystycznym budynkiem stacji w Żarowie, z napisem „Żary” w tle), podobnie jak w ukazujących się wtedy dolnośląskich gazetach. Zamieszanie wynikało zapewne z podobieństwa polskich i niemieckich nazw obu miejscowości (Saarau - Żarów, Sorau - Żary). [•]

Zbigniew Malicki: mieszkaniec Żarowa, autor książek „Spacer po dawnym Żarowie”, „100 lat kościoła w Żarowie”, „Śladami Anny świdnickiej”, współautor „Historii żarowskiej piłki nożnej”. Autor artykułów o tematyce regionalnej w „Roczniku Świdnickim”.

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów Biblioteki Dziedzictwa Ziemi Żarowskiej (bibliotekadziedzictwa.pl). Zdjęcie współczesne: W.Głodek.





Od chaosu do Hołosu

tekst: Jerzy Starzyński, Natalia Pelak-Jaszczka

Zdjęcia współczesne: Sonia Herbut

Zdjęcia archiwalne: z archiwum Łemkowskiego Zespołu Pieśni
i Tańca *Kyczera* w Legnicy

Ich historia od zawsze była spleciona z losami naszego kraju. Zamieszkiwali przygraniczne tereny ze Słowacją, od Jaworek i Szlachtowej u podnóża Małych Pienin, po Żubracze i Solinkę w Bieszczadach.



Łemkowie na Dolnym Śląsku

W 1947 roku Łemkowie w sposób nagły, brutalny zostali wygnani ze swoich ukochanych gór i rozsiedleni pojedynczymi rodzinami na terenach zachodniej i północnej Polski, gdzie mieli ulec szybkiej asymilacji.



Przesiedleńcy z Boguszy (pow. Nowy Sącz) na punkcie załadunkowym w Grybowie. Początek lipca 1947 roku. Trafili w okolice Oleśnicy i Ścinawy.



Lemkowska dziewczynka z Gładyszowa (pow. Gorlice). Lata 30. XX wieku



Najwięcej transportów z przesiedleńcami z Beskidu Niskiego i Sądeckiego trafiło na Dolny Śląsk. Niedawno na rynku wydawniczym ukazała się książka *Preselyly nas musowo. Listy Łemków z lat 1947-1948*. Wśród wielu



Łemkowie przed prawosławną cerkwią w Piorunce (pow. Nowy Sącz). Około 1945 roku. Po wysiedleniu Łemków, cerkiew została rozebrana.



relacji, nie brakuje tych spod Wrocławia, Legnicy, Oleśnicy, Lubina czy Głogowa:

Osiedlili nas na niemieckich koloniach na Zachodzie, koło rzeki Odry. Markotnie nam tu jest, bo nie dali nas razem, ale nas porozrzucali donosił wysiedlony z Kamiannej Paweł Maliniak. Osiedlony w okolicach Oławy Dymitr Łabowski z Bielanki, relacjonował: *Tutaj,*



Ostatnia Wielkanoc na Łemkowszczyźnie.
Bińczarowa (pow. Nowy Sącz). 1947 rok



gdzie jesteśmy, pola są nieorane. Do rzeki Odry mamy 100 kroków. Drzew nie ma tu żadnych. Nie ma czym palić. Na polach są jeszcze miny od wojny, pełno wraków samolotów. Jeżeli naród nie otrzyma jakiejś pomocy, to wyginie z głodu.



Łemkowskie wesele w okolicach Gromadki (pow. Bolesławiec). Lata 50. XX w.



Dom otrzymaliśmy murowany – pisał do krewnych w USA Mikołaj Leżyński wysiedlony z Berestu - ale sufit drewniany, taki, że już się na nas wali. Starostwo przydzieliło nam stare i zniszczone po wojnie budynki, w których są trzy ściany i to nie całe, bez dachu, bez okien i drzwi. Kogo wygnali wcześniej, temu trafiło się



Łemkowskie wesele. Wysoka koło Rudnej. 1949 rok.



jeszcze jako tako, a kto przyjechał później, to już na nich bieda. Jeszcze bardziej dramatyczne listy ślali przesiedleńcy z Powroźnika, którzy trafili w okolice Oleśnicy: Domów nie ma, to ludzie mieszkają w stajniach, ale nawet stajni brakuje. Gdzie większa stajnia, to nawet po trzy rodziny mieszkają.



Uroczystość rodzinna Łemków z Bartnego (pow. Gorlice).
Lisiec koło Lubina. 1949 rok.



Łemkowie nie mogli pogodzić się z utratą swojej be-
skidzkiej Arkadii. *Bardzo było nam żal zostawiać swoje
góry i swoje rodzinne wsie, swoją Łemkowynę, na któ-
rej nasi pradziadowie spokojnie przeżyli, a nas wyгна-
li, jakby miotłą wymiótł. Gdy opuszczaliśmy naszą
wieś, był wielki płacz i lament, ludzie z rozpacz y mdle-*



Ostatnia Wielkanoc na Łemkowszczyźnie.
Bińczarowa (pow. Nowy Sącz). 1947 rok



li, ale nic nie pomogło. Inny respondent dopełniał obraz rozpacz: I tak teraz tu żyjemy, jak rozbitkowie na wyspie, gdy ktoś uratuje się z tonącego statku. Porozrzucali nas po całej zachodniej Polsce, żeby nasze plemię wyginęło.

Mimo to, wbrew pesymistycznym prognozom i przeciwnościom losu, Łemkowie przetrwali. Na fali transformacji ustrojowej w naszym kraju, pod koniec lat 80. minionego stulecia, zaczęli zakładać swoje pierwsze organizacje. Jedną z nich był Łemkowski Zespół Pieśni i Tańca *Kyczera* w Legnicy.

Jego twórcy w pierwszej kolejności musieli przełamać strach, który tkwił w samych Łemkach; przyszło im przebijać się także przez mury stereotypów i uprzedzeń. Początki były bardzo trudne. Dzisiaj *Kyczera* jest nie tylko wizytówką Łemków, ale Dolnego Śląska i Polski. Reprezentowała kraj na kilkudziesięciu festiwalach na całym świecie, m. in. w Chinach, Meksyku, Indiach, Izraelu, Iraku, Peru, a latem tego roku na światowym



festiwalu kultury i sztuki w Istambule. Jednakże stowarzyszenie *Kyczera*, to nie tylko występy artystyczne. Zespół jest gospodarzem Międzynarodowego Festiwalu Folklorystycznego *Świat pod Kyczera*, na który co roku zaprasza egzotycznych gości z najodleglejszych zakątków





naszego globu; organizuje wystawy i konferencje naukowe; wydaje książki; prowadzi największą w świecie łemkowską bibliotekę oraz archiwum i izbę etnograficzną.

Jako pierwszy na Dolnym Śląsku wprowadził kulturę łemkowską „na salony”. I to dosłownie. W 2006 roku,





chcąc w szczególny sposób uświetnić jubileusz swojego 15-lecia, zorganizował w Operze Wrocławskiej koncert pn. *Tam na Łemkowyni...*

Było to wówczas wydarzenie bez precedensu, co potwierdza relacja jednego z gości, przybyłych specjalnie na ten koncert z USA: *Nie spodziewałem się, że takie gale, na tak wysokim, światowym poziomie, mogą być organizowane w naszym środowisku. Miałem łzy w oczach przez cały czas. Znalazłem się w zupełnie innym wymiarze, dostrzegłem naszą kulturę w zupełnie nowym świetle, tak komfortowo, dostojnie, z klasą. Byłem dumny z naszej kultury, pokazanej w tak bogatej oprawie, uwierzyłem w siłę naszego narodu. To nie są już zastraszeni ludzie, którzy wszystkiego się boją.*

To prawda!

Dziś młode pokolenie Łemków chce przemawiać swoim głosem. Czyni to już nie tylko poprzez folklor, ale sięga głębiej. Jednym z najważniejszych współczesnych projektów opowiadających losy Łemków jest Łemkowska



Opera Hołos. To artystyczna próba uchwycenia doświadczenia przesiedleń i drogi Łemków na Dolny Śląsk. To także symboliczny powrót do źródeł - zarówno tych muzycznych, jak i emocjonalnych.

Opera, która przywraca głos

Hołos to historia dwóch siostr, Hanci i Marysi, w których role wcielają się cenione śpiewaczki: Justyna Bluj, związana z Teatrem Wielkim - Operą Narodową, oraz Aleksandra Malisz, solistka Opery Wrocławskiej. Publiczność może spodziewać się głęboko emocjonalnego spektaklu o korzeniach, stracie i nadziei.

Największe Orkiestry w Polsce zagrały pod batutą Jakuba Przybycienia - dyrygenta o łemkowskich korzeniach, laureata International Conducting Competition Rotterdam 2025 i finalisty Nagrody Młodych Dyrygentów im. Herberta von Karajana.

Justyna Bluj podkreśla, że dla niej samej była to wyjątkowa droga artystyczna: *Jako solistka operowa posługuję się klasycznym głosem. Wykonanie partii białego*

głosu było dla mnie wyzwaniem wręcz elektryzującym. Niepewność przed nowymi dźwiękami zniknęła podczas pierwszej próby wszystkich artystów, na której osobiste wyzwanie wokalne zamieniło się we wspólne poszu-





kiwanie jedności muzycznej i integralności emocjonalnej. Różne światy artystyczne tworzą w tym projekcie nierozzerwalną synergę.

Partytura łączy brzmienie łemkowskiej kapeli, głosy solowe i orkiestrę kameralną. Narrację w języku łemkowskim prowadzi Igor Herbut. Spektakl jest dwujęzyczny - polski i łemkowski splatają się ze sobą, dzięki czemu opera pozostaje przystępna również dla osób nieznających języka.

Pomysłodawczynią projektu jest kompozytorka Daria Kuziak, która mówi: *Zależało mi na połączeniu brzmienia kapeli i orkiestry kameralnej, a także śpiewu klasycznego z białym głosem. To unikatowe połączenie jest jak nić między przeszłością a tym, co dopiero przed nami. Włączyłam też warstwę elektroniczną - nagrania prawosławnego nabożeństwa i fragmenty listów pisanych przez Łemków podczas akcji Wisła. Elektronika wniosła nową energię i duchowy wymiar.*



Opera składa się z dziewięciu płynnie połączonych scen i trwa około 60 minut. Tradycja spotyka się tu z nowoczesnością dzięki obecności dwóch zespołów: Łemkowskiego Zespołu Pieśni i Tańca Kyczera z Legnicy oraz Teatru ROZBARK z Bytomia. Reżyserka Oksana Terefenko-Horoszczak podkreśla wielowarstwowość spektaklu: *Ta historia jest opowiadana na wielu płaszczyznach - realnej, zmysłowej i tej, która pozostaje dla nas niewiadomą.* Scenografia i kostiumy autorstwa Moniki Iki Wójcik wzbogacone zostały elementami tradycyjnych strojów łemkowskich. [•]

Jerzy Starzyński: historyk, animator i badacz kultury łemkowskiej. Założyciel Łemkowskiego Zespołu Pieśni i Tańca *Kyczera*, pomysłodawca i dyrektor Międzynarodowego Festiwalu Folklorystycznego *Świat pod Kyczerą*. autor licznych publikacji poświęconych historii i kulturze Łemków, w tym obszernej monografii strojów łemkowskich.

Natalia Pelak-Jaszcza: współtwórczyni pierwszej w Polsce agencji art brandingu MAD illustrators, reprezentującej utalentowanych artystów z Europy, pomysłodawczyni kampanii promocyjnej Łemkowskiej Opery *Hołos*. Z pochodzenia Łemkini.

PATRONITE.PL/PRZYSTANEKD



PATRONITE

Zostań
Patronem



INSTYTUT DOLNOŚLĄSKI

Przystanek Dolny Śląsk to niezależny portal o Dolnym Śląsku i tylko dzięki Wam może taki pozostać.

Kwartalnik wydajemy od 2013 roku. Jeśli chcesz podjąć z nami współpracę odezwij się do nas w mediach społecznościowych lub napisz na: redakcja@przystanekd.pl

Przystanek Dolny Śląsk można również wspierać na buycoffee.to/przystanekd lub dokonując wpłaty darowizny na cele statutowe bezpośrednio na konto naszego wydawcy, Instytutu Dolnośląskiego:

28 2130 0004 2001 0663 3879 0001

Darowiznę taką można odliczyć w rocznym zeznaniu podatkowym.



Blok na osiedlu pracowniczym byłego PGR w Nowej Wsi Niemczańskiej,
fot. Wojciech Mazan, 2022 / Muzeum Architektury we Wrocławiu



Ukryte szczątki

Polska wieś po II wojnie światowej przeszła głęboką przemianę. Zniszczenia wojenne, przesunięcia granic oraz nowe realia polityczne przyczyniły się do tego, że rozwój terenów wiejskich podporządkowano centralnemu planowaniu. Wraz ze zmianami w sposobie i skali uprawy ziemi, przekształceniu ulegały także formy zabudowy mieszkalnej oraz stosowane technologie budowlane. Pojawiły się nowe strategie projektowe oraz nowe, często bardzo eksperymentalne, metody kreowania krajobrazów wiejskich. Część z nich



nigdy nie została wdrożona na szeroką skalę, inne z czasem stały się rozwiązaniami powszechnie stosowanymi.

Dziś pozostałości po Państwowych Gospodarstwach Rolnych i eksperymentalnych projektach wsi doświadczalnych z pierwszych lat powojennych – tytułowe „ukryte szczątki” – skłaniają do refleksji nad relacjami łączącymi przestrzeń, architekturę i ludzi.

Wystawa przygotowana przez zespół Muzeum Architektury we Wrocławiu i pracownię architektoniczną PROLOG śledzi historię zmian, jakie po wojnie zaszły na polskich wsiach. Autorzy przyglądają się skutkom reformy rolnej z 1944 roku, eksperymentalnym koncepcjom wsi doświadczalnych, rozwojowi i upadkowi PGR, aż po potransformacyjny i współczesny obraz tych obszarów.

Próbują też zdefiniować procesy, które doprowadziły do pojawienia się na otwartych polach bloków mieszkalnych – formy zupełnie obcej i zapożyczonej z miast. Rozważaniom tym towarzyszą współczesne fotografie ukazujące dzisiejszy obraz osiedli mieszkaniowych przy



byłych PGR-ach: przestrzeń, architekturę i wnętrza budynków. Dzięki skonstrastowaniu przeszłości z teraźniejszością dostrzec można relikty zjawisk, które przez dziesięciolecia kształtowały krajobraz polskiej wsi, a którym kres położyła transformacja ustrojowa i prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych.

O społecznych skutkach wielkich procesów modernizacyjnych opowiadają sami mieszkańcy osiedli zbudowanych na terenach po Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Ich wspomnienia i historie przedstawiają intymną, osobistą perspektywę codziennego życia w wiejskich blokach. Ekspozycji towarzyszy również pejzaż dźwiękowy byłego PGR-u nagrany w Jankowie w województwie pomorskim. Słuchając go, można przysiąc na ławce, będącej archetypicznym symbolem terenów wiejskich – tak typowym jak blok, przed którym stała. Wystawa trwa od 4 grudnia 2025 roku do 5 kwietnia 2026 roku. [•]

Na podst. informacji prasowej Muzeum Architektury we Wrocławiu.

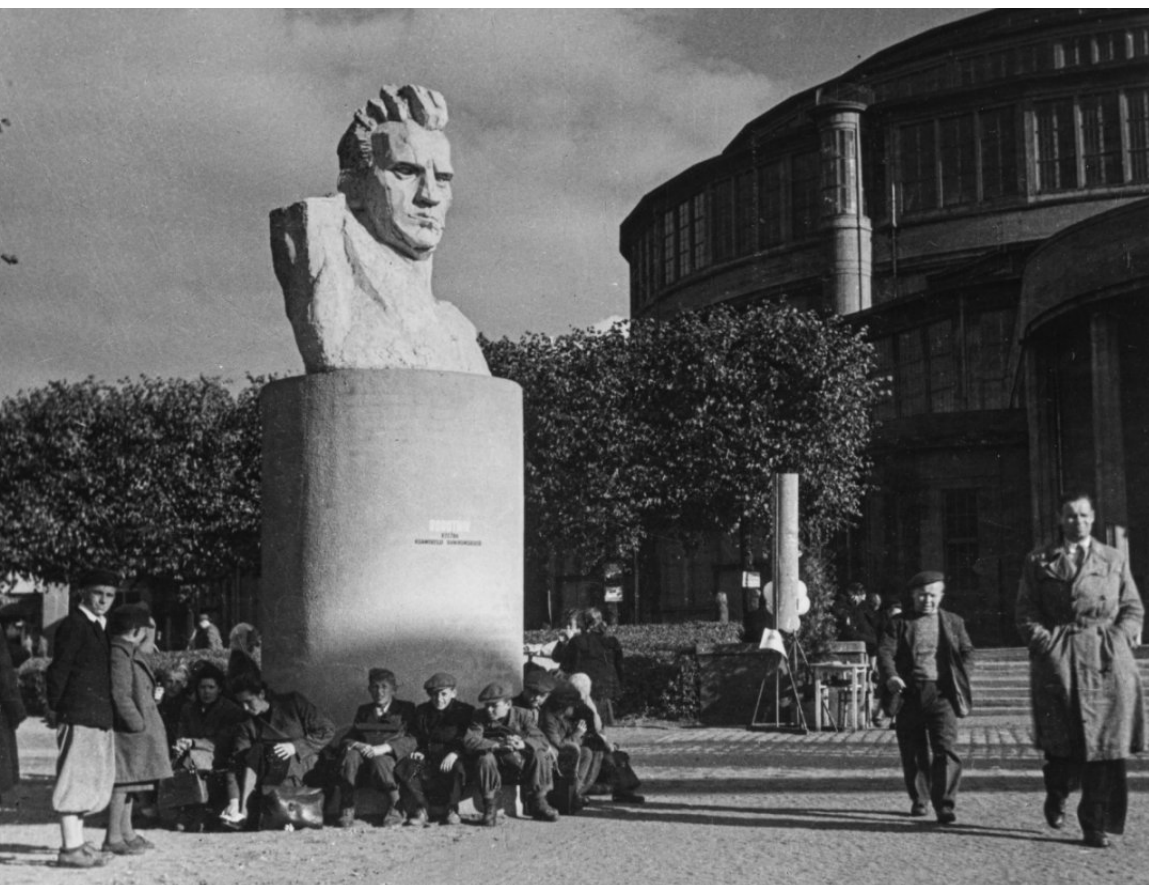


Popiersie robotnika

Monumentalne „Popiersie robotnika” autorstwa Xawerego Dunikowskiego będzie na stałe prezentowane w Pawilonie Czterech Kopuł Muzeum Sztuki Współczesnej. Wysoka na ponad 2 metry rzeźba poddana została konserwacji i po raz pierwszy po zakończeniu prac było można ją zobaczyć 24 listopada, w dniu 150. rocznicy urodzin rzeźbiarza.

„Popiersie robotnika” autorstwa Xawerego Dunikowskiego przygotowane zostało na Wystawę Ziem Odzyskanych, zorganizowaną we Wrocławiu w 1948 roku. Usytuowane przy wejściu do Hali Ludowej (ob. Hala Stulecia) było częścią ekspozycji plenerowej, na której prezentowano prekursorskie rozwiązania architektonicz-

ne i plastyczne, m.in. realizacje Jana Cybisa, Jerzego Wolffa, Henryka Stażewskiego i Bohdana Urbanowicza oraz Iglicę Stanisława Hempla – symbol odbudowy i nowoczesnej myśli technicznej.





Rzeźbiarskie przedstawienie człowieka pracy pełniło rolę nie tylko elementu oprawy plastycznej. Obiekt wpisywał się w propagandowe założenia WZO, której celem było ukazanie osiągnięć powojennej odbudowy terenów tzw. Ziemi Odzyskanych, z anonimowym robotnikiem jako pierwszoplanowym bohaterem, będącym – jak pisano w katalogu wystawy – „rzeczywistym panem tych ziem”.

Po zakończeniu wystawy „Popiersie robotnika” przechowywane było we wrocławskiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych (ob. Akademia Sztuk Pięknych), gdzie w latach 1959–1964 Dunikowski pełnił funkcję kierownika Katedry Rzeźby. Na mocy przekazu w roku 1965 rzeźba trafiła do zbiorów Muzeum Śląskiego (ob. Muzeum Narodowe we Wrocławiu).

– *Powojenny dorobek Dunikowskiego był nierzadko surowo oceniany przez pryzmat szybkiego przystosowania się artysty do nowego ustroju* – wyjaśnia Małgorzata Micuła z Działu Rzeźby Współczesnej MNWr. – *Relacje z władzą komunistyczną umożliwiły mu reali-*

zaczę niespełnionej przed wojną potrzeby tworzenia monumentów – dzieł o wielkiej skali i dla szerokiej publiczności, co stało w zgodzie z jego posłanniczym podejściem do sztuki. Realizując „Popiersie robotnika”,





artysta sygnalizował poparcie dla nowej władzy i akceptację socrealizmu, znacząc jednak odrębność poprzez indywidualny sposób kształtowania rzeźby, której chropowata faktura i intencyjnie niewykończona forma, były swoistą sygnaturą twórcy.

Robotnik w ujęciu Dunikowskiego nie wpisuje się w popularną ikonografię przodowników pracy. To raczej heros nowych czasów, personifikacja niezłomności, człowiek o pobrużdżonej, ale dumnej i zaciętej twarzy. Mógł być wyrazem nadziei oraz otwartości na nowe, bezpieczniejsze czasy. Tworząc „Popiersie”, Dunikowski był dojrzałym, 73-letnim twórcą, z dorobkiem sięgającym końca XIX wieku oraz pozycją czołowego polskiego rzeźbiarza.

Był także człowiekiem mającym w życiorysie doświadczenie pięcioletniego osadzenia w Auschwitz, a na przedramieniu tatuaż z numerem 774. Wojenne przeżycia pozostały nie bez wpływu na późniejsze wybory twórcze i moralne artysty, co przełożyło się także na

ocenę jego sztuki w okresie PRL-u oraz jej losy w dobie transformacji.

Gruntowne prace konserwatorskie, prowadzone w Muzeum Narodowym we Wrocławiu od sierpnia do





listopada 2025 roku przez zespół w składzie: Michał Oganiaczyk, Ryszard Motas, Mariusz Wierchowski, miały na celu udostępnienie „Popiersia robotnika” po 77 latach od pierwszej prezentacji rzeźby w ramach Wystawy Ziemi Odzyskanych oraz przypomnienie o powojennym dorobku Dunikowskiego, wskazując na potrzebę odczytania jego dojrzałej twórczości na nowo, bez historycznej dyskredytacji. „Popiersia robotnika” można obecnie oglądać w Pawilonie Czterech Kopuł.

– To jest rodzaj szczególnego „powrotu” dzieła sztuki, realizacji nieprzeciętnej i związanej z wybitnym artystą–rzeźbiarzem. To właśnie z okazji 150-lecia urodzin Xawerego Dunikowskiego udostępniamy w przestrzeni Pawilonu Czterech Kopuł Muzeum Sztuki Współczesnej jego monumentalne „Popiersie robotnika”. Rzeźbę, która została specjalnie stworzona na zorganizowaną we Wrocławiu w 1948 roku. Wystawę Ziemi Odzyskanych i ustawiona w bezpośrednim sąsiedztwie obecnej siedziby Muzeum Sztuki Współczesnej



– opowiada Piotr Oszczanowski, dyrektor Muzeum Narodowego we Wrocławiu.

Rzeźba wpisała się w szczególny sposób w ikonosferę tego propagandowego przedsięwzięcia, jakim była demonstracja skali odbudowy tzw. Ziem Odzyskanych po II wojnie światowej. Eksponowana na wysokim cokole była ulubionym miejscem osób zwiedzających tę wystawę – tam spotykały się i fotografowały blisko dwumilionowe rzesze zwiedzających tę wystawę.

W tym roku mija także 60 lat od momentu, kiedy to w 1965 roku rzeźba trafiła do zbiorów Muzeum Śląskiego, czyli obecnego Muzeum Narodowego we Wrocławiu.. Ostatnimi czasy poddana została gruntownej i bardzo starannej konserwacji. Przypomina ona artystę ważnego dla sztuki polskiej XX wieku i historię miejsca (Wielką Wyspę i tereny wystawowe), z którym od początku była związana. [•]

Na podstawie informacji prasowej Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Zdjęcia z archiwum Muzeum Narodowego we Wrocławiu.



Szlify. Historia prawdziwa

Kryształowe kieliszki miały w domach swoje specjalne miejsca. Stały na meblościankach, w gablotkach i kredensach. Używane tylko na specjalne okazje. „Kryształy”, czyli dekorowane ozdobnymi szlifami naczynia ze szkła ołowiowego, były w PRL-u symbolem luksusu i statusu społecznego. Wytwarzało je wówczas kilkanaście fabryk w Polsce. Wystawa Szlify eksploruje relacje między szkłem kryształowym a ludźmi.

„Kryształy” stanowią punkt wyjścia do opowieści o materialności szkła, tradycji rzemiosła, a także o symbolicznych znaczeniach przypisywanych przedmiotom. W tych mieniących się kruchych kieliszkach czy wazonach artystki i artyści widzą nośniki ludzkich historii.



Relacje pracowników wytwarzających ozdobne szkło splatają się w narracji wystawy z panoramą znaczeń nadawanych materii kryształu przez użytkowników. Opowieść o szkłe kryształowym snuta jest poprzez prace artystyczne, materiały archiwalne i badania etnograficzne. Na wystawie znalazły się fotografie autorstwa Agnieszki Rayss, obiekty Katarzyny Harasym powstałe z uszkodzonych czy zapomnianych naczyń oraz instalacja Aleksandra Bazysńskiego stworzona z kieliszków.

Kolejny wymiar relacji człowieka ze szkłem kryształowym wprowadzają archiwalia pochodzące z dokumentacji produkcyjnej Huty „Julia”. Są to między innymi wzory zdobień, które tradycyjnie przyjmowały formę rysunków technicznych kreślonych tuszem na kalce. Szlify, zmieniające szklane naczynie w „prawdziwy kryształ”, są do dziś wykonywane ręcznie przez doświadczonych pracowników. Ich osobistych historii, nierozzerwalnie związanych z dziejami zakładu, wysłuchiwała Ewa Klekot. Zebrane w formie nagrań audio są istotnym dopełnieniem



eksponycji. Ostatnią warstwą wystawy są sprzęty związane z różnymi etapami wytwarzania i zdobienia przedmiotów ze szkła kryształowego, a także same naczynia produkowane w Piechowicach. Szlify to wielopoziomowa narracja o sposobach doświadczania „kryształów” i różnych wymiarach ich współistnienia z ludźmi. Szkło kryształowe, na które moda w ostatnich latach zaczyna wracać, ukazane jest w kontekście etnograficznym, społecznym i historycznym. Jego materialna forma – oprócz swojej atrakcyjności – zyskuje nowe, niespodziewane znaczenia.

Szlify, czyli wystawa o szkle kryształowym i Hucie „Julia” trwa od 14 listopada 2025 roku do 8 marca 2026 roku w galerii SIC! BWA Wrocław. [•]

Na podstawie informacji prasowej BWA Wrocław.





Tyle pomysłów na pomaganie!

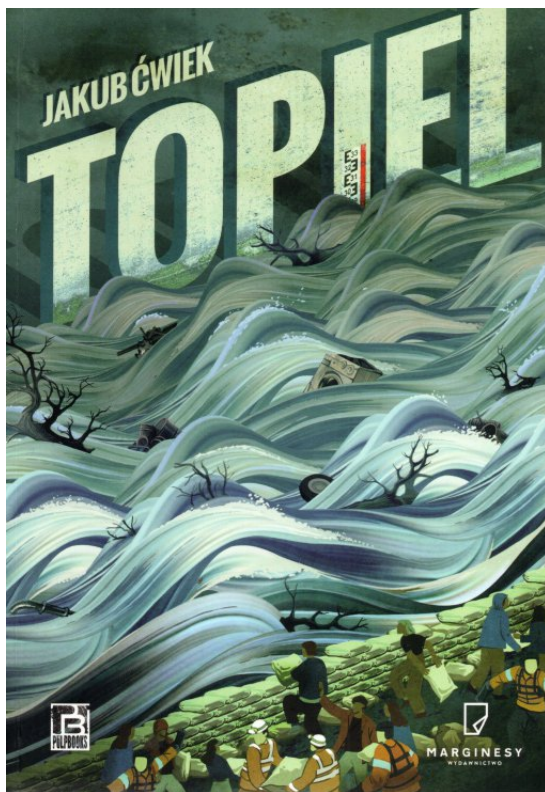
tekst: Hanna Szurczak

Minął rok od wielkiej powodzi, która dotknęła Dolny Śląsk. Wydawać by się mogło, że to niemożliwe – tylko rok? A jednak. Szukam tematów z nią związanych, by przywołać tamten czas, ale też powiedzieć coś o nas, których domy nie zostały zalane. Jacy byliśmy w tamtym momencie?



Jakub Ćwiek, autor dobrze znany miłośnikom kryminałów, literatury fantastycznej i horrorów, jako nastolatek przeżył wielką powódź roku 1997 w rodzinnych Głuchołazach. W 2019 roku wydał książkę „Topiel”. Mówi: „dorastałem do tej powieści przez kilkanaście lat, nosząc ją w sobie wraz z traumą tamtych dni.”

Pracując nad „Topielą” był jednak pewien, że takie doświadczenie nie będzie już dotyczyć nikogo w tym mieście, a książka pomoże jemu samemu i innym uczestnikom tych dramatycznych wydarzeń poradzić sobie z bolesnymi wspomnieniami. Nie mógł się spodziewać, że zaledwie pięć lat później nadejdzie kolej-





ny kataklizm. Uczestniczył w Targach Książki w Gdańsku, gdy dotarła do niego informacja o wielkiej wodzie niszczącej ponownie Głucholazy.

Dotarcie do swoich bliskich zajęło mu kilkanaście godzin, podczas których bezustannie przewijał w pamięci film ze swoimi wspomnieniami. Zaraz po przybyciu do Głucholaz zajął się niesieniem pomocy potrzebującym, był w kilku miejscach równocześnie; przynajmniej tak się wydawało. Kiedy jednak na chwilę usiadł, wymyślił akcję, która miała dać możliwość kilkunastu tysiącom ludzi (jak się w praktyce okazało) przyjście z pomocą powodzianom bez wychodzenia z domu.

W porozumieniu z wydawnictwem Marginesy, które wydało w 2020 roku jego „Topiel” oraz wydawnictwem Pulp Books, z którym współpracuje obecnie, postanowił wypuścić na rynek drugie wydanie tej książki, a całkowity dochód przeznaczyć na rzecz powodzian.

Już 14 września 2024 media społecznościowe obiegrała informacja, że „Topiel” można nabyć w opcji „wpłać, ile



chcesz” w wersji e-booka, audiobooka i wersji papierowej. Dwie pierwsze można było otrzymać po minimalnej wpłacie 1,20 zł, zaś na książkę papierową trzeba było poczekać, a jej cena zaczynała się od 10 zł. Sama akcja zakończyła się 30 września 2024 roku. Książki były jednak wysyłane od listopada do 21 stycznia 2025 roku. Taki rozstrzał był spowodowany tym, że nakład był drukowany w dwóch różnych miejscach i nie jednocześnie: drukarnia Abedik wydrukowała 500 sztuk bezpłatnie, drukarnia Azymut 1000 bezpłatnie. Resztę Azymut wydrukował po cenie kosztów druku. Wydawnictwa nie były przygotowane logistycznie na aż taką skalę, dziennie można było wysłać tylko określoną ilość książek. InPost obniżył koszt wysyłki, co również warte jest podkreślenia.

Zapytana o tę akcję przedstawicielka wydawnictwa Pulp Books, Sylwia Zimowska, wspomina: „byliśmy ogromnie zaskoczeni tym, jak wspaniale udostępniała się ta akcja i jak wiele osób do niej przystąpiło. W pierwszych dniach, gdy duże konta takie jak np. Make Life Harder



wrzuciły relację o zbiórce, zalała nas taka fala zamówień, że zawieszał się nasz sklep i informatycy pracowali w poście czola, by temu sprostać”. W efekcie tej inicjatywy gmina Głuchołazy otrzymała 300 tysięcy złotych, które pochodziły od 11 066 osób.

7 grudnia 2024 roku na mikołajkowej imprezie w Głuchołazach Jakub Ćwiek odebrał z rąk burmistrza, pana Pawła Szymkowicza, pamiątkowy medal za pomoc powodzianom. O tym fakcie poinformował na swoim profilu w social mediach, pisząc tak: „Potraktowaliśmy to wyróżnienie jako coś, co owszem, trafia na nasze ręce i zawiera nasze nazwiska, ale tak naprawdę skierowane jest do WAS WSZYSTKICH! Do każdej jednej osoby, która nam w tamtym trudnym czasie pomogła, udzielając pomocy z daleka czy bliska!”. W tym samym wpisie wspomniał również, że „pod koniec przyszedł tygodnia, wraz z najcudowniejszą ekipą Pulp Books, grupą zaprzyjaźnionych, wspierających artystów i twórców treści, kilkomaj świetnymi partnerami i nade wszystko z Wami, moi



kochani, dokonamy kolejnego nie tak znowu małego cudu!” A co nim było? W oparciu o rozmowy z powodzianami, ich opowieści o stanie emocjonalnym najmłodszych mieszkańców (oraz wspominając swoje powodziowe doświadczenie z 1997 roku) Ćwiek postanowił zorganizować akcję charytatywną, z której dochód byłby skupiony na jednym celu: wsparciu psychologicznym dla dzieci. Skontaktował się z Polskim Towarzystwem Terapii Zabawą w poszukiwaniu porad merytorycznych. Wydział edukacji w gminie Głucholazy przygotował informację o skali potrzeb, a były rzecznik praw dziecka, Marek Michalak zapewnił wsparcie Kapituły Orderu Uśmiechu.

Jak widać nie działał „na ślepo” i kolejna akcja była potrzebna. Już 13 grudnia 2024 mógł ogłosić: „Wraz z Pulp Books rozpoczynamy kolejną akcję! Tym razem stworzyliśmy "Świetlika w ciemności" — naprawdę wyjątkowe słuchowisko dla dzieci, za pomocą którego zbieramy fundusze na wsparcie psychologiczne dla małych powodzian! Cały dochód będzie przeznaczony na



wyznaczony cel.” A jaki ten cel jest? Pozyskanie profesjonalnego wsparcia psychologicznego dla dzieci z terenów powodziowych. Dostęp do terapeutów wyspecjalizowanych w zakresie diagnozowania i leczenia traum u dzieci. W miarę możliwości specjalne kursy dla rodziców (z zakresu obserwacji i właściwego reagowania na symptomy), a także szkolenia dla lokalnych terapeutów gotowych włączyć się długofalowo do akcji. Kolejnym celem, uzależnionym jednak od zebrania większej ilości środków ma być organizowanie wypoczynku połączonego z terapią.

Do projektu bezinteresownie przystąpili wspialali ludzie, znani z ekranów, estrad, sal koncertowych czy bibliotek. Nikt się nie wahał. Bez zbędnych słów zmieniali swoje grafiki, by dostosować się do napiętego terminarza nagrywania słuchowiska. Autorem tekstu jest oczywiście Jakub Ćwiek, reżyserem Marcin Kardach, zaś głosów używają: Filip Kosior, Mateusz Damiński, Olga Boładź, Cezary Pazura, Agnieszka Kołodziejska, Szymon Majewski, Julia Kamińska, Przemek Corso, Abelard Giza, Kacper



Ruciński, Wojciech Tremiszewski, Edyta Pazura, Dawid Kwiatkowski, Krzysztof Sokołowski, Czesław Mozil, Jakobe Mansztajn, GrubSon, Michał Marszał, Jakub Poczęty, Wojciech Chmielarz.

W dwóch słowach (zaczepniętych z profilu FB Damian Podoba - Subiektywnie o Fantastyce i Kulturze) o treści: Nad Łąkową Doliną zapadł Mrok. Służące mu wrony stanowią zagrożenie dla mieszkańców tego mikroświata. Czemu mikro? Otóż bohaterami są robaczki. Różne. Jest Gąsienic marzący by zostać lotnikiem. Są Pająki trzęsące półświatkiem. Jest Karaluch, Muszka, Modliszka i wiele więcej postaci. No i jest Łąko-





wa Straż – świetliki pod przewodnictwem Kapitana Świetlika oraz jego przybocznej, Świetliczki. To co popycha fabułę naprzód jest proste – pokonać Mrok. Tylko co mogą takie małe robaczki? Przede wszystkim mogą się wspierać, działać razem i pokonywać przeciwności.”

Twórcy słuchowiska zdecydowali, by zmaksymalizować pozyskanie środków z nagrania, że „Świetliki” dostępne będą jedynie w aplikacji PulpUp. Można je zakupić na stronie wydawnictwa:

 pulpbooks.pl/produkt/swietlik-w-ciemnosci

W ciągu niespełna roku słuchowisko zakupiło ponad 1100 osób. Uzyskane z tej sprzedaży środki posłużyły do opłacenia terapii dla sześciorga dzieci oraz dofinansowania szkolenia lokalnych terapeutów. Trójka kolejnych dzieci będzie zaczynać terapię na początku przyszłego roku. Cena słuchowiska nie jest wysoka, to zaledwie 30 zł. Akcja trwa, każdy z nas może się jeszcze do niej przyłączyć. Link na poprzedniej stronie. [•]

SPOTKANIA REGIONALISTÓW

24.
01.



Spotkania regionalistów
“Wśród Dolnośląskich Tematów”

spotkanie 6
Zima 1945



ul. Chojnowska 2
11:00 - 16:00

jem nad dworcem. blog

Na dworcu kolejowym lokal gastronomiczny zawsze się sprawdza. Czy to latem, czy zimą, wczesnym rankiem czy późnym popołudniem, w oczekiwaniu na pociąg czy po wyjściu zeń – zawsze mamy ochotę na kawę, herbatę, zimny napój lub drobną przekąskę. A jeśli jesteśmy miłośnikami kolei to nieraz mamy po prostu ochotę w takim lokalu posiedzieć i popatrzeć na pociągi...